

Zdzisław Rurarz

---

# DYLEMATY ROZWOJU

---

dziewięć

---

wykładów

---

z międzynarodowych

---

stosunków

---

gospodarczych

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO EKONOMICZNE

**DYLEMATY  
ROZWOJU**



Zdzisław Rurarz

# DYLEMATY ROZWOJU

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO EKONOMICZNE  
WARSZAWA 1977

Okładkę projektowała  
*Jolanta Musiałowicz-Jankowska*

Redaktor  
*Hanna Simbierowicz*

Redaktor techniczny  
*Roman Rudziński*

Korektor  
*Halina Koprowicz*

Printed in Poland  
Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne. Warszawa 1977.  
Zlec. 68/76. Wydanie I. Nakład 3000+230 egz.  
Ark. wyd. 14,2. Ark. druk. 15.  
Papier druk. mat. kl. IV, 70 g. Format 61×86.  
Oddano do składania 6 IX 1976 r. Podpisano do druku 7 II 1977 r.  
Druk ukończono w marcu 1977 roku.  
Cena zł 35,—  
Rzeszowskie Zakłady Graficzne, ul. Marchlewskiego 19  
Zam. 2849/76 Z-4-232

## Spis treści

<i>Od autora</i> . . . . .	7
WYKŁAD 1	
<i>Czy „powielanie” dotychczasowych wzorców rozwoju społeczno-gospodarczego będzie możliwe także w przyszłości?</i> . . . . .	9
WYKŁAD 2	
<i>Handel światowy wczoraj, dziś, a jutro?</i> . . . . .	34
WYKŁAD 3	
<i>„Naturalne bariery” rozwoju — mit czy rzeczywistość?</i> . . . . .	59
WYKŁAD 4	
<i>„Naturalnych barier” ciąg dalszy</i> . . . . .	84
WYKŁAD 5	
<i>„Naturalnych barier” część trzecia</i> . . . . .	114
WYKŁAD 6	
<i>Zasady i podmioty międzynarodowych stosunków gospodarczych</i> . . . . .	137
WYKŁAD 7	
<i>„Układ smarowania” — czyli stosunki walutowo-finansowe we współczesnym świecie</i> . . . . .	163
WYKŁAD 8	
<i>Czwórczłonowy układ sił w świecie i jego konsekwencje dla międzynarodowych stosunków gospodarczych</i> . . . . .	190
WYKŁAD 9	
<i>„Nowy międzynarodowy ład ekonomiczny” — ale jaki?</i> . . . . .	214
<i>Literatura</i> . . . . .	239



## Od autora

Napisanie czegokolwiek na temat międzynarodowych stosunków gospodarczych jest obecnie niezwykle trudne. W rozwoju gospodarki światowej, głównie w jej niesocjalistycznej części, nagromadziło się wiele problemów, które bezpośrednio i pośrednio wpływają na takie, a nie inne kształtowanie się tych stosunków. Również same międzynarodowe stosunki gospodarcze mają swoje „własne” problemy, które z kolei rzutują na rozwój gospodarki światowej. Międzynarodowe stosunki gospodarcze nie istnieją więc „autonomicznie”, a są wypadkową sytuacji i wydarzeń w wielu innych dziedzinach życia. W związku z tym starano się w sposób popularny pokazać coś w rodzaju „wszechzwiązku zjawisk”, nie tylko ekonomicznych.

Mnogość tych problemów i ich złożoność nie pozwalają na łatwe i krótkie ujęcie poszczególnych tematów, zwłaszcza jeśli chce się to uczynić w sposób narracyjny i wysoce selektywny. Wiele tematów zasługuje na oddzielne książki, toteż z konieczności potraktowano je tu tylko bardzo pobieżnie. Wiele też świadomie opuszczono.

Gdyby książkę tę pisano kilka lat temu, zadanie piszącego byłoby znacznie łatwiejsze. Świat był wówczas jakoś bardziej „uporządkowany”, a przynajmniej można było odnosić takie wrażenie. Gdyby zaś książkę tę pisano kilka lat później, zapewne wielu znaków zapytania i wielokropków można by uniknąć, gdyż do tego czasu pewne wątpliwości w jakiś sposób się wyjaśniły. Najtrudniej jest pisać o dniu dzisiejszym dniu. Wiele podstawowych „pewników” po prostu przestało być pewnikami, a nie bardzo wiadomo, jakie nowe zajmą ich miejsce.

Najgorsze jednak, że rozwój wielu wydarzeń jest tak szybki

i często tak nieoczekiwany, że śledzenie ich zaczyna być przedsięwzięciem przekraczającym siły pojedynczego człowieka, zwłaszcza jeśli stara się on badać wydarzenia w ich „wszechzwiązku”. Zdarza się też i tak, że na interpretację wielu wydarzeń trzeba niestety poczekać. Często ocena wydarzeń „na gorąco” może być chybiona. Ale oceny trzeba robić...

Niniejsze wykłady nie pretendują do wyjaśnienia wielu trapiących współcześnie ludzkość problemów. Ich celem jest raczej zasygnalizowanie istnienia pewnych problemów i co najwyżej wyrażenie własnego, czasem może kontrowersyjnego poglądu w omawianych kwestiach. No cóż, poglądy trzeba mieć, choć mogą być one czasem niesłuszne. Zresztą nawet słuszne poglądy zależą też od „miejsca i czasu”...

W tekstach, które były pomyślane jako „mówione”, a nie „pisane”, starano się uniknąć przytaczania zbyt wielu liczb i faktów, ale zupełne ich wyeliminowanie było niemożliwe. Może nawet w niektórych miejscach liczb i faktów jest za dużo, a w wielu innych zapewne za mało. Liczono się również z tym, że zanim książka ukaże się na półkach księgarskich, wiele liczb i ocen może się zdezaktualizować.

Czytelnik może mieć też zastrzeżenia, czy samego głównego tematu nie „rozwodniono” za bardzo, poświęcając zbyt wiele uwagi sprawom demograficznym, wyżywienia, środowiska naturalnego i wielu innym problemom z polityczno-ideologicznymi włącznie. Jednakże zwrócenie uwagi na te niby „uboczne” problemy było głównym celem autora. One to właśnie determinują kształt międzynarodowych stosunków gospodarczych. Tym bardziej, że obecnie jakby „odkryto” masę przeróżnych zależności między odległymi, zdawałoby się, dziedzinami. Czy to się udało — osądzi Czytelnik.

W obronie swej autor może powiedzieć tylko tyle, że skomplikowane sprawy próbował przedstawić możliwie prosto, co, jak wiadomo, jest samo w sobie trudne.

## Wykład pierwszy

*Czy „powielanie” dotychczasowych wzorców rozwoju społeczno-gospodarczego będzie możliwe także w przyszłości?*

Ludzkość wkroczyła w ostatnie ćwierćwiecze XX stulecia nowej ery. Nigdy w jej historii nie było takiego nagromadzenia imponujących osiągnięć geniuszu człowieka jak obecnie. Ale nigdy też dalszy jej rozwój nie stał przed tyloma dylematami.

U podstaw burzliwego rozwoju w ciągu ostatnich 200 lat leżą osiągnięcia w nauce. Często nie uświadamiamy sobie faktu, że ponad 90% uczonych, których ludzkość wydała od zarania swego istnienia, żyje wśród nas.

Nauka, bezpośrednio wprzęgnięta do rozwoju społeczno-gospodarczego, sama uległa „industrializacji” i stała się przez to zorganizowaną i główną siłą motoryczną tego rozwoju.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby człowiek nie posługiwał się coraz to nowymi i potężniejszymi źródłami energii, nowymi i sprawniejszymi materiałami, nie stosował nowych metod produkcji, sposobów transportu i dystrybucji dóbr, to osiągnięcia ludzkości nie byłyby tak ogromne. O ile jednak początkowo człowiek dokonywał wielu odkryć rewolucjonizujących rozwój niejako instynktownie, choć opierając się często na długoletnich doświadczeniach, o tyle dziś odkrycia są rezultatem wieloletnich i metodycznych badań prowadzonych przez coraz większe rzesze uczonych, a możliwych dzięki przeznaczaniu ogromnych funduszy na ten cel.

Ludzkość szczyty się wielkimi osiągnięciami w różnych dziedzinach, ale najłatwiej przemawiają do wyobraźni osiągnięcia gospodarcze. Syntetycznym ich wskaźnikiem, aczkolwiek wielce niedoskonałym, jest dochód narodowy na jednego mieszkańca, który daje pewne wyobrażenie o materialnej bazie, na której wyrasta „przeciętny byt” członków danego społeczeństwa.



Otóż w 1973 r. produkt społeczny brutto na jednego mieszkańca globu ziemskiego wynosił około 1100 dolarów (w cenach z 1972 r.)<sup>1</sup>. Prawdopodobnie nie uległ on zasadniczym zmianom również w 1975 r. ze względu na recesję w większości krajów niesocjalistycznych. Gdyby ta wielkość przeciętna była rozłożona w świecie w sposób równomierny, to nie tylko byłaby imponująca, ale także usprawiedliwiałaby pogląd, że świat żyje względnie dostatnio i w zasadzie wolny jest od konfliktów rozwojowych. Tak jednak nie jest.

Ale powróćmy jeszcze do powyższej przeciętnej. Mówiliśmy, że można by ją uznać za imponującą. Nie jest to żadna przesada. Nigdy w przeszłości wielkości takiej nie osiągnięto.

Dokładnych obliczeń oczywiście nie ma, lecz na ogół szacuje się, że przeciętny produkt brutto *per capita* na przestrzeni dziejów ludzkości nie mógł wynosić wiele mniej niż 50 dolarów (w cenach z 1972 r.), ale też nie mógł przekraczać 250 dolarów<sup>2</sup>. Wąska baza produkcji nie pozwalała na wyższy przeciętny poziom dochodów. Nie mógł on też być zbyt niski, ponieważ musiał zapewniać pewne „minimum życiowe”.

Górną granicę omawianego przeciętnego produktu brutto osiągnięto najpierw w starożytnym Egipcie, potem, w półtora tysiąca lat później — w starożytnym Rzymie i wreszcie, znowu w półtora tysiąca lat później — w północno-zachodniej Europie w latach 1450—1750.

Zasadniczy przełom nastąpił dopiero około 200 lat temu, kiedy do manufaktur zaczęto wprowadzać maszynę parową (pierwszą taką maszynę zbudowano w 1774 r.). Dało to początek rewolucji przemysłowej, która skierowała społeczno-gospodarczy rozwój ludzkości na nowe tory i nadała mu tempa przedtem nigdy nie spotykanego.

Jednakże rewolucja przemysłowa to nie tylko przewrót w metodach produkcji, ale także w sposobie produkcji. Rewolucja przemysłowa była zwiastunem nowej formacji społeczno-ekonomicznej — kapitalizmu, która z kolei spowodowała m. in. nierównomierność rozwoju społeczno-gospodarczego.

<sup>1</sup> Por. dokument UNCTAD — TD/B/530/Add. 1, część 1, (aneks 2), Genève, z 5 lutego 1975 r., s. 30.

<sup>2</sup> Por. *Multinational Business*, „The Economist” z 22 stycznia 1972 r.

Na progu następnego okresu rozwojowego, w który wchodzi ludzkość obecnie, obraz sytuacji odziedziczonej po ostatnich 200 latach nie jest niestety zachęcający. Przeciętny w skali światowej produkt brutto na jednego mieszkańca w wysokości 1100 dolarów kryje w sobie olbrzymie nierówności. W poszczególnych grupach krajów dochód ten jest bowiem następujący (w dol./1 mieszk.)<sup>3</sup>:

rozwinięte kraje kapitalistyczne	— 3 840
kraje RWPG	— 1 630
kraje rozwijające się	— 247.

Nawet zakładając, że w powyższych danych są jakieś nieścisłości i że w 1975 r. sytuacja w jakimś stopniu zmieniła się, zwłaszcza w odniesieniu do krajów rozwijających się, w których w wyniku eksplozywnego wzrostu cen ropy naftowej przeciętna poprawiła się, to jednak faktem jest, że nierówności w omawianych dochodach na głowę są olbrzymie.

Nie chodzi tutaj zresztą o aptekarskie wyliczanie rozmiarów różnic, a o sam fakt ich istnienia. Jest bowiem niezbitą prawdą, że ostatnie 200 lat rewolucji w nauce i technice, które spowodowały „eksplozję” rozwoju, sprawiły jednocześnie, że rozwój ten dokonywał się w świecie nierównomiernie. Przy tym obecnie nierównomierność ta wręcz zagraża dalszemu rozwojowi.

Świat rozwijał się nierównomiernie także w przeszłości, ale zróżnicowanie poziomów rozwoju nie było aż tak rażące jak obecnie. Można w związku z tym zapytać: czy całe 200 lat burzliwego rozwoju nie było wobec tego chybione? Odpowiedź na to pytanie nie tylko nie jest prosta, ale nie może też być jednoznaczna.

Z historii rozwoju gospodarczego wiemy, że rewolucja przemysłowa narodziła się w północno-zachodniej Europie, skąd zaczęła się przenosić do innych regionów naszego globu. Fakt ten sam przez się stworzył określoną sytuację. Są dziś bowiem na świecie społeczeństwa rozwojowo „stare”, których obecny poziom rozwoju jest dziełem co najmniej 8 pokoleń. Są też społeczeństwa rozwojowo „średnie”, których obecne osiągnięcia zostały

<sup>3</sup> Dane dla 1973 r. w cenach z 1972 r. Por. dokument UNCTAD — TD/B/530/Add. 1, część 1..., jw., s. 31.

wypracowane przez co najmniej 4 pokolenia. I są społeczeństwa rozwojowo „młode”, których obecne osiągnięcia stworzone zostały przez mniej niż 4 pokolenia. W przypadku większości obecnych krajów rozwijających się jest to sprawa pierwszego pokolenia. W ogóle zaś burzliwy rozwój świata w ciągu życia ostatnich 8 pokoleń jest jakimś krótkim epizodem w całej historii co najmniej 400 „rozumnych” pokoleń i około 40 tysięcy pokoleń ludzkiego rodu w ogóle...

Rozwój poprzedzający ostatnie 200 lat był nie tylko bardzo powolny, ale występowały także okresy zastoju, a nawet cofania się. Teraz uległ on gwałtownemu przyspieszeniu. Czy to dobrze, czy źle?

Ogólnie biorąc, na pewno bardzo dobrze. Tylko że już wspomnieliśmy o pierwszym „ale”, czyli o jego nierównomierności. A nie są to bynajmniej wszystkie „ale”.

Wraz z przyspieszeniem rozwoju stały się oczywiste przynajmniej dwa inne jego „efekty uboczne”, które w przeszłości nie stawały przed ludzkością z taką ostrością jak obecnie: eksplozja demograficzna i zagrożenie środowiska naturalnego.

Analiza dotychczasowych osiągnięć i doświadczeń ery rewolucji w nauce i technice prowadzi więc do następującego wniosku ogólnego: rozwój społeczno-gospodarczy, oparty na postępie naukowo-technicznym, uległ w tym okresie gwałtownemu przyspieszeniu, ale jednocześnie skomplikował się, czego wyrazem jest jego nierównomierność i wystąpienie „efektów ubocznych” w formie presji demograficznej i zagrożenia środowiska naturalnego, co w konsekwencji staje się poważną barierą dla niego samego. Dalszy rozwój społeczno-gospodarczy będzie się więc niewątpliwie odbywał w całkiem odmiennych warunkach.

Znane jest prawo fizyki, które głosi, że wraz z przyspieszeniem wzrasta opór. Jednakże rozwój społeczno-gospodarczy jest jeszcze bardziej złożony niż zjawiska fizyczne. Sprawa bowiem wygląda tak, że w przypadku tego rozwoju opór może wzrastać nie tylko przy przyspieszaniu, ale nawet przy utrzymywaniu jego tempa...

Jedno wszakże raczej nie ulega wątpliwości, mianowicie fakt, że dalszy rozwój społeczno-gospodarczy musi być bardziej „rozumochłonny” niż dotąd.

Nie ma co prawda jakiejś absolutnej skali, na której można by zmierzyć osiągnięcia ludzkiego geniuszu, i nie wiadomo, co było naprawdę większym osiągnięciem — nauczenie się przez człowieka posługiwania się ogniem, czy wymyślenie maszyny parowej. Podobnie jak nigdy nie będzie można ustalić, czy maszyna parowa była mniejszym czy większym osiągnięciem w porównaniu z nieuchronnym opanowaniem przez człowieka reakcji termojądrowej. Absolutnej „miarki” zastosować tu się nie da, bo każde wielkie osiągnięcie człowieka miało względną wartość. Dokonywało się w odmiennych warunkach i służyło innym celom.

W każdym razie, osiągnięcia geniuszu ludzkiego, które znalazły swój wyraz w tzw. cywilizacji materialnej człowieka i ujęte są w syntetyczne wskaźniki absolutne na jednego mieszkańca naszego globu — są zawsze osiągnięciami o względnej tylko doskonałości.

Aczkolwiek osiągnięcia zawsze stwarzały podstawy do dalszego rozwoju, to jednak rozwojowi temu zawsze towarzyszyły także bariery, które w dawnych okresach nie tylko poważnie hamowały rozwój, ale okresowo nawet go cofały.

W związku z tym powstaje zasadnicze pytanie — czy nie wkraczamy w takie stadium, w którym bariery rozwoju stają się potężniejsze niż jego siły motoryczne, tzn. czy fakt zwiększającej się „rozumochłonności” rozwoju nie stawia przed geniuszem ludzkim zbyt wielkich zadań, których niepokonanie może załamać sam rozwój? Innymi słowy — czy „powielanie” dotychczasowych doświadczeń rozwojowych może zagwarantować ludzkości dalszy rozwój? Spróbujmy odpowiedzieć na to pytanie.

Obserwacja ostatnich 200 lat rozwoju prowadzi w gruncie rzeczy do wniosku, że towarzyszące temu rozwojowi osiągnięcia są poważnie ograniczone w stosunku do rozbudzonych potrzeb ludzkich, a ponadto nie jest prawdopodobne, aby przy obecnym poziomie nauki i techniki cała ludzkość mogła z osiągnąć tych korzyść w jednakowym stopniu i to możliwie szybko.

Jeśli jakimś wskaźnikiem materialnego bytu człowieka jest zużycie stali, to osiągnięcie amerykańskich standardów (które nie zaspokajają w pełni potencjalnego popytu w samych USA) w skali



całego globu wymagałoby 75-krotnego zwiększenia jej produkcji, co w obecnej sytuacji jest absolutnie niemożliwe.

Zwykło się mawiać, że pragnienie jest siłą popychającą człowieka do czynu. To bardzo dobrze. Człowiek istotnie dokonał wielkich czynów. Tylko że między czynami a pragnieniami trwa nieprzerwany wyścig i odnosi się wrażenie, iż człowiekowi łatwiej przychodzą pragnienia niż czyny...

Co więcej, rewolucja naukowo-techniczna spowodowała, że w odróżnieniu od przeszłości, wielkie osiągnięcia geniuszu ludzkiego w postaci dóbr materialnych nie tylko stały się powszechnym marzeniem ludzi, ale zaczęto ich nawet przekonywać, iż mają prawo do ich posiadania. Tak zwane społeczeństwo masowej konsumpcji nigdy nie miało swego odpowiednika w historii. Niewolnik czy chłop pańszczyźniany „prawem boskim i władcy” byłby wręcz grzesznikiem, gdyby chciał tylko marzyć o posiadaniu pewnych dóbr. Dziś o posiadaniu wszystkich dóbr marzy każdy.

Ponadto nastąpiła dość swoista symbioza prostoty wartości użytkowych przedmiotu z wymyślnością jego tworzenia. Ludzie mogą nie wiedzieć, co to jest półprzewodnik, ale potrafią się obchodzić z radiem tranzystorowym lub podobnym urządzeniem.

Dotychczasowe osiągnięcia ludzkości spowodowały więc z jednej strony zwielokrotnienie masy dóbr, a z drugiej — ich dywersyfikację. Ale jednocześnie popyt na te dobra również uległ zwielokrotnieniu i dywersyfikacji. Zniknęły też moralne i prawne granice popytu. Człowiek wolny żąda absolutnie wszystkiego, co jest dziełem jego rozumu i rąk, bez względu na to, czy stosowane przez niego metody produkcji i sposób dystrybucji dóbr są w stanie zaspokoić jego popyt.

Fakt ten doprowadził do swoistej „instytucjonalizacji” zjawiska nierównomierności rozwoju. Skoro bowiem nie można wszystkich obdzielić efektami geniuszu ludzkiego, to trzeba przynajmniej obdzielić nimi niektórych.

Dlatego nieprzypadkowo na fali rewolucji przemysłowej zrodził się socjalizm naukowy, który w rozwoju ludzkości poza pogłębiającymi się nierównomiernościami społecznymi, a co za tym idzie i rozwojowymi dostrzegł siły mogące doprowadzić do sprawiedliwego rozdziału dóbr, których dzięki wykorzystaniu najnowszej techniki powinno się wytwarzać coraz więcej. Mimo poważnego

wyłomu w systemie kapitalizmu dokonanym przez socjalizm — podstawowy kierunek rozwoju ludzkości nie zmienił się jednak w ciągu ery przemysłowej w sposób zasadniczy. Nierównomierność rozwoju pozostała nadal jego cechą dominującą.

Ale powróćmy do zasadniczego pytania, a mianowicie — czy może to trwać nadal?

Wyżej mówiliśmy już o tym, że rewolucja przemysłowa nie wszędzie rozpoczęła się w tym samym czasie. Już sam ten fakt sprawił, że wystąpiły silne tendencje do nierównomiernego rozwoju. Tylko że sprawa nie jest tak jednoznaczna.

Poszczególne rozwojowo „stare” społeczeństwa rozwijają się w różnym tempie. Podobnie jest ze społeczeństwami rozwojowo „średnimi”. I to samo odnosi się do społeczeństw „młodych”. Nie istnieje więc jakieś prawo głoszące, że ci, którzy mają za sobą dłuższy okres rozwoju, rozwijają się szybciej, bo nagromadzili większą masę doświadczeń i odpowiednio ukształtowali swoją mentalność, albo że rozwijają się wolniej, bo się rozwojem „zmęczyli” i wiele swoich rezerw wyczerpali. Podobnie nie ma prawa, które mówiłoby, że społeczeństwa wkraczające na drogę rozwoju muszą się rozwijać szybciej, bo mają zapas energii i świadomość dystansu dzielącego je od społeczeństw bardziej rozwiniętych, czy też że muszą rozwijać się wolniej, bo brak im doświadczenia i wielu innych rzeczy.

W rzeczywistości sprawa jest bardziej skomplikowana. Rozwój, jak zresztą zawsze, zależał od splotu różnych konkretnych czynników obiektywnych i subiektywnych.

Do czynników obiektywnych należy klimat, urodzajność gleb, bogactwa naturalne i nade wszystko zasoby ludzkie. Umiejętne ich wykorzystanie, w połączeniu ze sprzyjającą sytuacją zewnętrzną, może zwielokrotnić szanse rozwojowe. Nie wszystkie jednak społeczeństwa zawsze miały tylko obiektywnie sprzyjające warunki rozwoju i nie wszystkie z takich czy innych względów umiały i mogły warunki te wykorzystać.

Niezależnie więc od wcześniejszego czy późniejszego startu do rewolucji naukowo-technicznej również sam „lot rozwojowy” odbywał się w różnych warunkach, powodujących, mówiąc obrazowo, szybszy „lot” jednych i wolniejszy drugich. W społeczeń-

stwach niesocjalistycznych dotyczy to zarówno krajów, jak i grup społecznych.

W dłuższym okresie większe szanse na osiągnięcie szybszego tempa rozwoju mają jednak na ogół społeczeństwa bardziej rozwinięte, tj. o lepszej infrastrukturze rozwojowej. Jeśli ponadto są one zasobne w bogactwa naturalne i ziemie uprawne, to szanse ich są jeszcze większe.

W infrastrukturze rozwojowej decydującą rolę, w dodatku rosnącą, zaczyna odgrywać poziom oświaty i nauki.

Powszechnie wiadomo, że wydajność człowieka oświeconego jest wyższa niż człowieka nieoświeconego. Wiadomo też, iż wyższą wydajność pracy daje większe nasycenie produkcji techniką i organizacją pracy.

Wysoki poziom oświaty i nauki wymaga jednak olbrzymich nakładów, na jakie, mimo dużej ich opłacalności, nie zawsze mogą sobie pozwolić społeczeństwa o niższym poziomie rozwoju. Co więcej, osiągnięcie wysokiego poziomu oświaty i nauki wymaga czasu. Nawet przy braku barier finansowych może to być sprawa co najmniej 2 pokoleń, czyli 50 lat. Kraje, które nie mają odpowiedniej kadry niezbędnej do realizacji zadań przyspieszonego rozwoju, nie tylko ryzykują, że tempo tego rozwoju będzie wolniejsze od potencjalnego, ale także muszą się liczyć ze zwiększeniem jego kosztów, a nawet narażają się na to, że jego charakter będzie chybiony.

Dotychczasowe doświadczenia wykazują również, że w miarę rozwoju następuje kumulowanie się czynników „napędzających” ten rozwój. Fakt ten, w gruncie rzeczy sam w sobie obiektywny i pozytywny, dodatkowo komplikuje proces rozwoju w skali globalnej, gdyż pogłębia istniejące już nierównomierności rozwojowe w świecie. Zjawisko nierównomierności rozwoju zaczyna się jakby „instytucjonalizować”. „Rwanie” do przodu przez jednych i zostawanie w tyle przez innych zaczyna jednak nabierać konfliktowego charakteru i staje się barierą samego rozwoju w skali światowej.

Jednocześnie fakt ten zaczyna coraz powszechniej docierać do świadomości ludzi. Wprawdzie w całej historii ludzkości nierównomierność zawsze była cechą rozwoju, choć w mniejszym stopniu, ale nigdy nie uświadamiano sobie tego tak powszechnie jak obecnie.

Tak jak łatwo, za pośrednictwem tzw. publikatorów oraz w wyniku wzmożonego przemieszczania się ludzi, docierają do świadomości każdego określone wzorce konsumpcyjne, tak samo łatwo przemawiają do świadomości różne liczby, którymi współczesne społeczeństwa raczone są obficie.

Dawniej wszelkiego rodzaju „efekty demonstracji” miały mniejsze możliwości penetracji umysłów ludzkich, a różnorakie wskaźniki po prostu nie istniały albo istniały w bardzo ograniczonym zakresie i w dodatku nie wszyscy mieli do nich dostęp i nie do wszystkich one przemawiały. Dziś sytuacja diametralnie się zmieniła. Ludzie nie tylko nie chcą akceptować istniejących różnic rozwojowych, ale często nie mogą sobie pozwolić na ich istnienie. Stawia to bowiem pod znakiem zapytania możliwość ich dalszego rozwoju i istnienia w ogóle.

„Powielanie” rozwoju w dotychczasowym wydaniu, tj. rozwoju nierównomiernego, staje się więc niemożliwe. Oznaczałoby bowiem pogłębianie się istniejących nierówności w świecie, co powodowałoby kontynuowanie niezrównoważonego rozwoju, który już obecnie wszedł w stadium antagonistycznych sprzeczności między społeczeństwami bardziej i mniej rozwiniętymi.

Nierównomierność rozwoju, jeśli miałaby się utrzymywać według dotychczasowego wzorca — stawia pod znakiem zapytania sens samego rozwoju. Ale czy wspomniany wzorzec może się zmienić?

Końcowe miesiące 1973 r. przyniosły ze sobą „eksplozję” cen ropy naftowej i poprawiły, przynajmniej na razie, perspektywy rozwojowe „naftowych” krajów rozwijających się. W samym tylko 1974 r. ich dochód narodowy na głowę wzrósł o 2/3<sup>4</sup>, co nie ma precedensu w historii rozwoju gospodarczego świata. Jednakże jeden rok, nawet najpomyślniejszy, nie decyduje jeszcze o długookresowym rozwoju.

Ponadto wspomniane kraje, lub inaczej kraje OPEC, mają tylko około 300 milionów mieszkańców i nawet jeśli przyjmiemy, że ich perspektywy rozwojowe na najbliższe ćwierćwiecze poprawiły się, to jednocześnie pogorszyły się warunki rozwojowe „nienaftowych” krajów rozwijających się, podobnie jak „nienaftowych” krajów rozwiniętych, przy czym liczba ludności obu

<sup>4</sup> Por. dokument UNCTAD — TD/B/XV/Misc. 1, Genève, z 28 lipca 1975 r., s. 3.



tych grup krajów łącznie wielokrotnie przewyższa liczbę ludności krajów OPEC. W związku z tym można raczej mówić o dalszym skomplikowaniu się procesu rozwojowego w świecie i pogłębieniu się tendencji do nierównomiernego rozwoju.

Nierównomierność rozwoju, niezależnie od różnych obiektywnych przyczyn, jest jednak przede wszystkim wynikiem kapitalistycznych sprzeczności społecznych, które uległy szczególnemu zaostrzeniu w dobie imperializmu, na co zwracał uwagę jeszcze W. Lenin.

Ciekawe jednak, że nie tylko marksiści dostrzegli to prawo nierównomiernego rozwoju. Różne prognozy czynione w samych krajach kapitalistycznych przyjmują jako pewnik, że nierównomierność rozwoju i istniejące różnice w poziomie rozwoju utrzymają się, a nawet się pogłębiają.

Tak np. H. Kahn i A.J. Wiener z nowojorskiego Hudson Institute przewidują, że podczas gdy w 1965 r. produkt brutto na jednego mieszkańca był w krajach rozwiniętych około 12-krotnie większy niż w krajach rozwijających się, to w 2000 r. będzie już 18-krotnie większy (do krajów rozwiniętych zaliczono także kraje RWPG; gdyby je wyłączyć z porównania, różnice te byłyby jeszcze większe)<sup>5</sup>.

Można oczywiście podawać w wątpliwość ich przewidywania, ale w niczym nie zmienia to faktu, że wspomniani autorzy innej wizji świata w 2000 r. po prostu nie mają. Według nich, kraje rozwijające się nie tylko nie mają szans na wyrównanie istniejących różnic rozwojowych, ale nawet muszą pogodzić się z myślą o ich powiększeniu się.

Zdaniem H. Kahna i A.J. Wienera, aby osiągnąć amerykańskie wskaźniki produkcji na jednego mieszkańca z 1965 r. kraje rozwijające się potrzebowałyby okresu wahającego się w granicach od 69 lat w przypadku Argentyny do 593 lat w przypadku Indonezji<sup>6</sup>. Prawdopodobnie jeszcze dłuższego czasu potrzebowałyby inne kraje, o których autorzy nawet nie wspominają.

Gdyby powyższe prognozy uznać za trafne — zniwelowanie różnic w poziomie rozwoju tak oddaliłoby się w czasie, że byłoby wręcz nieosiągalne. A przecież Stany Zjednoczone nie będą stały

<sup>5</sup> Por. H. Kahn, A. J. Wiener, *The Year 2000*, London 1967, s. 143.

<sup>6</sup> Por. tamże, s. 149.

w miejscu, co dodatkowo odsunęłoby jakąkolwiek perspektywę wyrównania owych różnic...

Zagadnieniu temu poświęćmy jeszcze nieco uwagi. Przyjrzyjmy się choćby następującym liczbom. Według wspomnianych autorów dochód narodowy brutto na jednego mieszkańca krajów skandynawskich, które ich zdaniem mają być w roku 2000 najbardziej rozwiniętym regionem świata, wynosił w 1965 r. 2130 dolarów (w cenach z tego roku), w Czarnej Afryce zaś — 95 dolarów (warto dodać, że w niektórych jej krajach nawet połowę tego). Rozpiętość była więc ponad 22-krotna. W 2000 r. dochód ten miałby osiągnąć odpowiednio — 7264 i 179 dolarów (w cenach 1965 r.)<sup>7</sup>. Rozpiętość byłaby zatem aż 43-krotna!

Prognozy tego rodzaju nie mogły nie wywrzeć określonego wrażenia. Nie tylko zresztą w krajach rozwijających się, które zaczęły z nich wysnuwać wnioski polityczne, ale także w samych rozwiniętych krajach kapitalistycznych, w których zaczęto sobie zdawać sprawę z „kłopotliwości” sytuacji.

Zaczęto jednak snuć dość osobliwe przewidywania. Jedni w przyszłości upatrywali zwiastuna jeszcze szybszego rozwoju niż w przeszłości, drudzy zaś głosili przekonanie o nieuchronności stagnacji rozwoju, graniczące z niewiarą w rozwój w ogóle.

Pod wrażeniem lat sześćdziesiątych, kiedy produkt światowy brutto wzrastał o 4,5% rocznie, niektórym zaczęło się wydawać, że tempo to można będzie „powielać” nawet do połowy XXI w. W ten sposób w latach 1970—2050 omawiany produkt wzrósłby aż 32-krotnie<sup>8</sup>. W cenach z 1970 r. osiągnąłby kwotę 112 bilionów dolarów, wobec 3,5 biliona dolarów w 1971 r. Żeby cyfra ta mogła przemówić do wyobraźni, wyjaśniono, że 4-osobowa rodzina amerykańska miałaby dochody roczne w wysokości 250 tysięcy dolarów, czyli ponad 60 tysięcy dolarów na osobę.

Niestety, z powyższej prognozy nie można się niczego dowiedzieć o sytuacji w obecnych krajach rozwijających się, ale można zakładać, że tak wysokich dochodów dla większości z nich się nie przewiduje.

Jednakże H. Kahn i A.J. Wiener nakreślili pewną wizję nie tylko 2000, ale nawet 2020 r. Przy maksymalnie korzystnym

<sup>7</sup> Por. tamże, s. 154.

<sup>8</sup> Por. *Multinational Business*, jw.

wariacie rozwoju przepowiadają oni w 2020 r. dochód narodo-  
wy brutto na jednego Hindusa w wysokości 1020 dolarów, a na  
jednego Chińczyka w wysokości 3210 dolarów (w cenach 1965 r.).  
Przy maksymalnie niekorzystnym wariacie natomiast dochód  
na jednego Hindusa wyniósłby 79 dolarów (wobec 99 dolarów  
w 1965 r.) i 127 dolarów na jednego Chińczyka (wobec 98 dola-  
rów w 1965 r.)<sup>9</sup>.

Dla odmiany w Japonii, która zdaniem wymienionych auto-  
rów ma szansę stania się w 2020 r. krajem o najwyższym do-  
chodzie narodowym na głowę, maksymalny wariant oznaczałby  
35,9 tysiąca dolarów, minimalny zaś — 10,2 tysiąca dolarów<sup>10</sup>.

Nonsens tego rodzaju prognoz jest oczywisty. Można by wręcz  
zapytać — po co światu taki rozwój, skoro różnice mają się  
nadal pogłębiać? Przecież rozumując w ten sposób, nie można  
wykluczyć, że Japonia rozwijać się będzie według maksymalnie  
korzystnego wariantu, Indie zaś według maksymalnie niekorzyst-  
nego. Wtedy rozpiętość w omawianych dochodach na głowę by-  
łaby aż 450-krotna, a w połowie XXI w. zapewne w przybliże-  
niu 1000-krotna.

Chyba żeby do tego nie doszło, jako że społeczeństwo Indii  
prawdopodobnie uległoby przedtem fizycznemu wyniszczeniu, bo  
byłby to wzrost „negatywny”, a społeczeństwo Japonii — roz-  
kładowi z przesytu...

Nie chodzi tu zresztą o wiarygodność tych czy podobnych pro-  
gnoz, ale o sposób myślenia, który prowadzi do takich niesamo-  
witych wprost wizji świata przyszłości. Skoro dzisiejsza, „tylko”  
12-krotna rozpiętość między światem rozwiniętym a słabo rozwi-  
niętym staje się politycznie niemożliwa do tolerowania, to jak  
można uwierzyć, że w przyszłości mogłyby być tolerowane więk-  
sze różnice?

Załóżmy nawet, iż inny futurolog, a mianowicie A. Toffler,  
ma rację, że istnieje jakościowa różnica między obecnym ży-  
ciem a tym w przyszłości i że „dzisiaj zmienia się zasadniczo  
sposób «odczuwania» otaczającego nas świata”<sup>11</sup>. Ale wszystko  
to jest możliwe tylko do pewnego stopnia. Nawet jeśli zgodzi-

<sup>9</sup> Por. H. Kahn, A. J. Wiener, *The Year 2000*, jw., s. 159.

<sup>10</sup> Por. tamże.

<sup>11</sup> A. Toffler, *Szok przyszłości*, Warszawa 1970, s. 29.

my się z A. Tofflerem, że: „nie ma [...] jakiegoś dokładnego sposo-  
bu pomiaru procesów zachodzących przeobrażeń”<sup>12</sup>, to prze-  
obrażenia cytowane wyżej mogą zostać „zmierzone” takimi kon-  
fliktami, o jakich ludzkości się w przeszłości nawet nie śniło...

Skoro już jesteśmy przy „szoku przyszłości”, to zacytujmy  
jeszcze jedną sentencję, którą A. Toffler powtarza za socjopsycholo-  
giem W. Bennisem, a mianowicie, że tempo zmian jest tak du-  
że, iż nie można objąć go umysłem i dopiero „przesada [...] zdaje  
się być dziś bliższa prawdy”<sup>13</sup>.

Jeśli tak, to każdy może dowolnie przesadzać co do kształtu  
przyszłości — tylko czy na przesadach można budować przy-  
szłość? Doświadczenie uczy bowiem, że wszystko ma swoje gra-  
nice, przesada również.

Oczywiście różne prognozy mają prawo „traścić” przesadą i nie  
to zdumiewa, lecz raczej chłodne podejście do nich.

Pierwsze 200 lat rewolucji w nauce i technice ma niewątpli-  
wie jeden zasadniczy rys — w miarę postępowania tej rewolu-  
cji proces rozwoju gospodarczego świata uległ przyspieszeniu.  
Tempo rozwoju dziewiętnastowiecznej Anglii, która nadawała  
ton rozwojowi świata, nie przekraczało 2% rocznie. I był to  
„cud gospodarczy”. Dzisiaj „cudy gospodarcze” muszą „legity-  
mować się” tempem około 10-procentowym (które istotnie nie  
należy obecnie do rzadkości), a tempo rzędu 2% oznacza wręcz  
stagnację.

W wierze w przyspieszanie się rozwoju świata nie ma jeszcze  
nic złego. Zresztą większość prognoz zakłada raczej tylko utrzy-  
manie się tempa do niedawna rejestrowanego w świecie. Nato-  
miast źle jest, jeśli się wierzy, że rozwój świata możliwy jest  
przy założeniu pogłębiających się różnic w skali światowej. Na-  
wet samo ich utrzymanie się w obecnych rozmiarach wydaje się  
w dłuższym okresie niemożliwe, a co dopiero ich pogłębianie się.  
Wizja świata, w myśl której istniejące różnice rozwojowe by-  
łyby nawet jeszcze pogłębione, nie może być wizją przyszłości!

Niestety, burżuazyjni „prognostycy” nie opracowali dotąd „spo-  
sobu” na wyrównywanie różnic rozwojowych, jeśli pominąć pró-  
by podejmowane przez ONZ w ramach tzw. dekad rozwoju

<sup>12</sup> Tamże, s. 34.

<sup>13</sup> Tamże, s. 36.



(w opracowanym pod egidą ONZ studium W. Leontiefa pt. *The Future of the World Economy* podany jest m. in. taki wariant rozwoju, w myśl którego omawiana „luka” między krajami rozwiniętymi i rozwijającymi się miałyby się w 2000 r. zmniejszyć do 7:1).

Ale nie tylko nierównomierny rozwój wywołuje wątpliwości jako wizja przyszłości. Wywołuje je i inna wizja — wizja niemożności rozwoju w ogóle. Chodzi tu głównie o tzw. I Raport Rzymski, który sugeruje konieczność świadomego założenia „rozwoju zerowego” ze względu na rzekomą niemożność kontynuowania „nacisku” na zasoby naturalne globu w obecnym tempie.

Mamy więc do czynienia aż z dwoma skrajnymi wizjami przyszłości. Jedna wierzy w geniusz ludzki i przewiduje rozwój świata w tempie przynajmniej takim jak w latach sześćdziesiątych, choć różnie kształtującym się w poszczególnych regionach i krajach, druga zaś bije na alarm, ostrzegając wręcz o nadciągającej katastrofie, jeśli rozwój miałby w ogóle jeszcze trwać...

Cokolwiek by powiedziano o obu wizjach, nie można nie wyrazić zdziwienia, że w okresie, kiedy nauka dokonała tak olbrzymich postępów i to we wszystkich dziedzinach, mogły być sformułowane aż tak odmienne wizje świata niedalekiej przyszłości. Obie są przy tym wynikiem prac wielu ekspertów i to obficie zaopatrzonych w różne dane oraz posługujących się maszynami liczącymi i różnymi wymyślnymi modelami.

Można nie mieć pretensji, że nie potrafi się przewidzieć pogody na najbliższe dziesięciolecia, ale źle jest, jeśli jedni w najbliższym 80-leciu przewidują 32-krotny wzrost produktu światowego, a drudzy przepowiadają wręcz koniec świata. Najgorsze jednak, że przy dzisiejszym stanie wiedzy ta druga wizja wydaje się niestety bardziej prawdopodobna.

„Optymistyczne” wizje zakładają „powielanie” tempa rozwoju osiąganego w latach sześćdziesiątych bez zwracania uwagi na „rzeczowe środki” tego rozwoju. Ich twórcy wychodzą z założenia, że środki te się znajdują, jeśli tylko się tego zechce. Decyzja ma bowiem sama w sobie wystarczającą moc tworzenia przesłanek rozwoju.

Oczywiście nie można odmówić racji takiemu rozumowaniu, ale nie wolno tu także popadać w przesadę.

To prawda, że im bardziej oddalone są perspektywy — tym trudniej o wiarogodną wizję. Szacuje się bowiem, że ilość naszej wiedzy podwaja się co 10 lat. Oznaczałoby to 16-krotny wzrost w ciągu najbliższych 40 lat. Innymi słowy, to, co będzie za 40 lat, możemy w najlepszym przypadku przewidzieć w 6%, czyli w znikomym stopniu.

Stąd też właśnie w znacznie lepszej sytuacji są wszyscy ci, którzy na przyszłość patrzą przez pryzmat przeszłości i teraźniejszości. Zamiast bowiem fantazjować — operują faktami.

Pierwszy Raport Rzymski spojrział właśnie w przyszłość przez pryzmat dotychczasowych doświadczeń. Konkluzje cyfrowe oszłomiły autorów. Nieprzypadkowo wziął się tytuł raportu — *Granice wzrostu*.

Jego autorzy odrzucili linearne metody „kalkulowania” rozwoju najbliższej przyszłości, a zastosowali „wykładnicze”. Dla przykładu podajmy za nimi, że przy tempie rozwoju wynoszącym 0,05% rocznie trzeba aż 1400 lat dla podwojenia produkcji, przy 0,1% — 700 lat, przy 1% — 70 lat, przy 5% — 14 lat i przy 10% — 7 lat<sup>14</sup>.

W Raporcie wychodzi się przy tym z założenia, że zasoby naturalne globu są ograniczone, a wiele z nich jest nieodnawialne. Szybkie tempo rozwoju gospodarczego i szybkie tempo przyrostu naturalnego muszą więc wcześniej czy później doprowadzić do katastrofy.

Raport podaje na przykład, że powierzchnia ziem nadających się pod uprawę wynosi na kuli ziemskiej 3,2 miliarda hektarów<sup>15</sup>, z czego ponad połowa została już zagospodarowana. Dla oddania pod uprawę następnej połowy trzeba zainwestować w hektar przeciętnie 1150 dolarów (w zależności od warunków 215—5275 dolarów). Wyjaśnijmy zaraz, że łączna suma nakładów wyniosłaby 1,84 biliona dolarów, czyli w cenach dzisiejszych równałaby się połowie światowego produktu brutto. FAO uważa takie koszty za wręcz prohibicyjne.

Raport dodaje także, że w wielu regionach świata powiększenie powierzchni uprawnej jest już niemożliwe. W 1970 r. dla

<sup>14</sup> Por. D. H. Meadows, D. L. Meadows, J. Randers, W. W. Behrens III, *Granice wzrostu*, Warszawa 1972, s. 49.

<sup>15</sup> Por. tamże, s. 66.

wyżywienia jednego mieszkańca globu wykorzystane było 0,4 hektara, czyli łącznie około 1,3 miliarda hektarów, co jak wiadomo, było niewystarczające i 1/3 ludzkości głodowała (i głoduje nadal). Eksperti amerykańscy — kontynuując Raport — obliczają, iż w obecnych warunkach na jednego mieszkańca powinno przypadać 0,9 hektara powierzchni uprawnej<sup>16</sup>.

Jeśli nic się nie zmieni, to, w myśl Raportu, w roku 2000 głód będzie zjawiskiem bardzo powszechnym, a w roku 2010 osiągnięty zostanie punkt krytyczny, który może oznaczać sytuację bez wyjścia. Ceny żywności osiągną bowiem poziom, który będzie nie do pokonania dla przeważającej części ludności globu.

Chyba w jeszcze czarniejszych barwach Raport przedstawia sprawę tzw. surowców nieodnawialnych. Zestawiono w nim koszty 19 nieodnawialnych surowców i paliw, a mianowicie: aluminium, chrom, cynę, cynk, gaz ziemny, kobalt, mangan, miedź, molibden, nikiel, ołów, platynę, ropę naftową, rtęć, srebro, węgiel, wolfram, złoto i żelazo, i wysnuto następujące wnioski<sup>17</sup>:

1) gdyby zachowano obecny poziom konsumpcji ww. surowców i paliw, to uznając obecnie rozpoznane ich zasoby za ostateczne — wyczerpałyby się one w ciągu 11—2300 lat. Najszybciej wyczerpałyby się złoto (11 lat), rtęć (13 lat), srebro i cyna (16 i 17 lat). Aluminium zabrakłoby po 100 latach, kobaltu — po 110, a platyny i niklu — odpowiednio po 130 i 150 latach. Na względnie długo starczyłoby żelaza (240 lat), chromu (420 lat) i węgla (2300 lat). Ale za to ropa naftowa wyczerpałaby się już po 31 latach, a gaz ziemny — po 38. Wśród rozpatrywanych surowców nie ma uranu, którego też by zabrakło przed końcem bieżącego stulecia;

2) gdyby jednak następował wzrost konsumpcji omawianych surowców i paliw według różnych stóp wzrostu (przy czym maksymalna stopa w stosunku rocznym wahałaby się w granicach 2,0—7,7% w zależności od surowca, minimalna zaś — w granicach 0—5,1%), to już tylko węgiel mógłby być wydobywany jeszcze w ciągu najbliższych 111 lat, natomiast wszystkie inne surowce i paliwa wyczerpałyby się przed upływem

<sup>16</sup> Por. tamże, s. 67.

<sup>17</sup> Por. tamże, s. 72—85.

100 lat, z tym że chromu i żelaza starczyłoby jeszcze na 95 i 93 lata, ale ropy i gazu tylko na 20 i 22 lata;

3) nawet gdyby przyjąć, że faktyczne zasoby omawianych 19 surowców i paliw są aż 5-krotnie większe od rozpoznanych, to utrzymanie wymienionego wyżej tempa wzrostu konsumpcji poprawiłoby sytuację tylko nieznacznie. Węgla starczyłoby na 150 lat, chromu na 154 lata, żelaza na 173 lata, ale ropy naftowej tylko na 50 lat. W sumie zatem, z wyjątkiem chromu i żelaza, po 150 latach nie byłoby na świecie żadnego z rozpatrywanych surowców i paliw.

Nic więc dziwnego, że na podstawie takiej wizji, I Raport Rzymski postulował hamowanie rozwoju gospodarczego, zalecając wręcz „zerowy wzrost”, zwłaszcza tam, gdzie rozwój osiągnął już zaawansowany poziom.

Cokolwiek by powiedziano o omawianym Raporcie, trzeba mu przyznać rację w jednej sprawie, w tym mianowicie, że jeśli nic się nie zmieni na świecie, to istotnie istnieją granice rozwoju. Problem polega jednak na tym, że nie wiadomo, co i w jakim stopniu się zmieni oraz kiedy...

Pesymistyczny ton I Raportu nie został co prawda powtórzony w II Raporcie, który przedstawia sprawy mniej brutalnie i bardziej elastycznie, ale pesymizmu zupełnie nie rozwiewa.

Myślą przewodnią II Raportu jest przekonanie, że ludzkość może, na wzór komórek, rozwijać się „organicznie”, tzn. może mieć różne alternatywy rozwoju, który wcale nie musi być rozwojem nie zróżnicowanym ilościowo. Może on być także rozwojem „specyficznym”, czyli jakościowo różnym od poprzedniego.

Konkretnie mówiąc, w II Raporcie uważa, że: „każda część, region czy grupa narodów — wnosi swój wkład do rozwoju organicznego ludzkości: zasoby naturalne, technologię, potencjał ekonomiczny, kulturę itp. W takim systemie rozwój każdej części zależy od rozwoju lub nierozwoju innych części”<sup>18</sup>. Raport wyjaśnia też, że owe części są „funkcjonalnie współzależne”.

Rozumowanie powyższe jest nawet logiczne, ale nie bardzo wiadomo, jak naprawdę wprowadzić to wszystko w życie i jak funkcjonowałoby to w praktyce. Koncepcja „organiczności” jest

<sup>18</sup> M. Mesarović, E. Pestel, *Strategie pour demain*, Paris 1974, s. 28.



bowiem tylko jakąś hipotezą, a nie prawdą absolutną. Dotychczasowe doświadczenia wskazują na coś całkiem odwrotnego. Współczesna „współzależność funkcjonalna” przejawia się raczej w rosnących tarciach niż w harmonii współdziałania...

Zresztą II Raport, słusznie podkreślając, że: „rodzaj nierównomiernego i nie zróżnicowanego rozwoju [...] jest centralnym z problemów najbardziej zagrażających ludzkości”<sup>19</sup>, dodaje zaraz, że „nic nie wskazuje na to, iż obecne tendencje rozwojowe zapewnią przejście od rozwoju nie zróżnicowanego do rozwoju organicznego”<sup>20</sup>.

Tłumacząc to prościej, nie wiadomo, w jaki sposób pewne, wydawałoby się, oczywiste i konieczne zmiany miałyby się dokonać. Dla wyjaśnienia warto dodać, że omawiany Raport w ogóle nie wspomina np. o „alternatywie socjalistycznej”.

Stąd też nie wiadomo, który z Raportów jest w gruncie rzeczy bardziej pesymistyczny. Jeden nie widzi prawie żadnego wyjścia z sytuacji, drugi zaś niby widzi, ale nie wie, jakie jest to wyjście. Drugi Raport jest nawet jeszcze bardziej dramatyczny w swym ostrzeżeniu niż pierwszy, bo wręcz nawołuje, że „alternatywy, które stoją przed ludzkością i które mogą spowodować uniknięcie katastrofy bez precedensu — nieprzerwanie się zawężają [...] Podjęcie decyzji bezzwłocznie — to obecnie sprawa życia lub śmierci”<sup>21</sup>.

Sam dramatyzm apelu wcale jeszcze nie oznacza, że zmiana dotychczasowej sytuacji nastąpi i to w pożądanym kierunku. Drugi Raport nie wyjaśnia bowiem, dlaczego nie udało się do tej pory zapewnić harmonii działania „funkcjonalnie współzależnych” części. Nie wyjaśnia też, dlaczego wśród obecnych tendencji rozwojowych świata nie można się doszukać oznak zapowiadających przejście do rekomendowanych przez autorów cech „rozwoju organicznego”. W tym sensie oba Raporty są w swej istocie pesymistyczne i skądinąd nawet bardzo ciekawe, ale strategii rozwojowej świata budować na nich nie można.

Nie może być bowiem tak, że dalszy rozwój świata pozostawi się biegowi wydarzeń, które „jakoś tam” znajdują właściwy tor,

<sup>19</sup> Tamże, s. 29.

<sup>20</sup> Tamże, s. 31.

<sup>21</sup> Tamże, s. 138.

po którym rozwój świata potoczy się dalej. Taka wizja byłaby co najmniej nieodpowiedzialna. Świat istotnie znalazł się na przysłowiowych „rozstajnych drogach” i już dziś wiadomo na pewno, że nie będzie się rozwijał według dotychczasowych wzorców.

Optymiści twierdzą, że wszystko da się rozwiązać. Wystarczy tylko chcieć. Pesymiści twierdzą, że już prawie nic się nie da rozwiązać. Nawet gdyby chcieć.

Podchodząc do zagadnienia nieemocjonalnie i bezstronnie, a nawet chwilowo zapominając o społecznej stronie rozwoju, trzeba stwierdzić, że dalszy rozwój świata będzie niewątpliwie bardziej złożony niż kiedykolwiek przedtem. Złożoność ta polega na rosnącym uzależnieniu dalszego procesu rozwojowego od geniuszu ludzkiego. Innymi słowy — rozwój staje się, jak to już wspomnieliśmy, coraz bardziej „rozumochłonny”. Albo człowiek pokona swoim geniuszem narastające na drodze rozwoju bariery — albo będzie się musiał poddać.

Do tej pory człowiek niewątpliwie radził sobie ze swymi zadaniami. Główny sens jego sukcesu polegał na opanowywaniu coraz to nowych i potężniejszych źródeł energii. I dziś, bardziej niż kiedykolwiek w przeszłości, punktem krytycznym dalszego rozwoju staje się znów energia.

Dotychczasowe jej źródła na pewno nie wystarczą do zapewnienia długotrwałego i szybkiego rozwoju świata. Można jeszcze próbować oszczędzać energię, można wykorzystywać jeszcze różne jej nośniki prawie dotąd nietknięte, ale wiadomo, że klasyczne źródła energii nie rozwiążą sprawy.

Z całą ostrością staje więc przed ludzkością problem znalezienia nowych źródeł energii, przy czym do nowych nie można już zaliczać energii rozszczepialnej. W perspektywie widzi się, na razie przynajmniej, 2 nowe jej źródła: energię słoneczną i syntezę wodorową. Oba są teoretycznie niewyczerpalne i w obu przypadkach istnieją nawet uzasadnione nadzieje na powodzenie przedsięwzięcia.

W każdym razie jedno jest pewne, to mianowicie, że etap korzystania z energii w sposób, nazwijmy to, „naturalny” minął lub mija. Nadciąga nowa era, w której człowiek będzie musiał rozumem swym wyzwolić i opanować nowe źródła energii istnie-

jące w przyrodzie. Innego wyjścia nie ma. Jeśli mu się to uda, to prawdopodobnie zniknie cała „materialna bariera” rozwoju w postaci braku surowców nieodnawialnych. Dzięki taniej energii będzie bowiem można „produkować” dowolne surowce przez zmianę układów molekularnych. Tylko że wszystko to nie stanie się przed końcem bieżącego stulecia. Co najwyżej będziemy tylko wiedzieli, czy pewne nadzieje na nowe źródła energii mają szanse materializacji i kiedy.

Tymczasem rozwój świata będzie się musiał opierać na tradycyjnych źródłach energii, wspomaganych częściowo energią rozszczepialną, która zresztą może więcej spraw skomplikować, niż rozwiązać...

Jednocześnie nie wydaje się, aby przed końcem bieżącego stulecia mogła nastąpić jakaś rewolucja naukowo-techniczna w innych dziedzinach życia, która mogłaby mieć natychmiast jakiś większy praktyczny wpływ na rozwiązanie piętrzących się problemów. Można się natomiast spodziewać kontynuacji „powielania” dotychczasowych, aczkolwiek ulepszonych metod intensyfikacji procesów wytwórczych oraz odwoływania się do ekstenzywnych metod tam, gdzie to jest ciągle jeszcze możliwe.

Jednakże taka wizja musi koniecznie uwzględniać oczywisty już fakt, że wszystko dzieć się będzie w komplikujących się wewnętrznych i zewnętrznych warunkach rozwojowych w każdym kraju. Dziś wydaje się niemal pewne, że w skali światowej nie da się łatwo przyspieszyć tempa rozwoju gospodarczego. Można mu natomiast nadać bardziej racjonalny charakter i tym samym obdzielić jego dobrodziejstwami szersze rzesze ludzkości i lepiej przygotować ją do następnego etapu rozwoju.

Następny bowiem etap charakteryzować się musi zasadniczym przewrotem w nauce i technice. Kończący się obecnie etap rewolucji naukowo-technicznej wykazuje co prawda jeszcze postęp w wielu dziedzinach życia, ale jest to postęp typu „usprawniającego”, bardzo cenny sam w sobie, ale już nie wystarczający. Jeszcze wprowadza się nowe produkty i nowe metody wytwarzania, jeszcze ulepsza się istniejące, ale zasadniczego przełomu w produktach ani metodach produkcji na razie nie ma. A do pchnięcia rozwoju po nowych torach konieczny już jest nie postęp typu „usprawniającego”, a po prostu przewrót!

Przesłanki do takiego przewrotu mogą powstać w najbliższych 20—25 latach, ale na okres ten już większego wpływu nie wywrą. Decydującego znaczenia nabiera jednak samo stworzenie tych przesłanek lub, inaczej mówiąc, wyrobienie sobie „przepustki” do XXI wieku.

Stworzenie tych przesłanek w komplikujących się warunkach rozwojowych nie będzie rzeczą łatwą. Największą bowiem komplikacją typu ekonomicznego jest postępujący wzrost kosztów rozwoju społeczno-ekonomicznego.

K. Marks przepowiadał kryzys kapitalizmu m. in. z powodu malejącej stopy zysku, co zaczynają dziś przypominać nawet niemarksiści. Przez wiele lat produktywność kapitału utrzymywała się jednak na wysokim poziomie i to dłużej, niż się początkowo wydawało możliwe. Wynikało to z pogłębienia się międzynarodowego podziału pracy w sposób umożliwiający kapitałowi rozszerzenie sfery wyzysku i tym samym osiąganie zysków nadzwyczajnych. Zapłacono za to jednakże nierównomiernym rozwojem świata, o czym już była mowa. Drugim czynnikiem (albo nawet pierwszym) był postęp naukowo-techniczny. Rewolucji w tej dziedzinie nie można było z całą dokładnością przewidzieć.

W wyniku oddziaływania obu tych czynników produktywność kapitału miała nawet tendencję do wzrostu, a tendencja do malejącej stopy zysku została czasowo jakby „zneutralizowana”. Jednakże tylko czasowo.

Co prawda na razie brak pogłębionych studiów w tej dziedzinie, ale na ogół uważa się, że przynajmniej w rozwiniętych krajach kapitalistycznych, od początku lat sześćdziesiątych zaczyna się nasilać tendencja do spadku produktywności kapitału<sup>22</sup>. Konsekwencją tego byłby spadek stopy zysków i inwestycji. W celu przeciwdziałania tej tendencji kapitalizm ucieka się do inflacji, która jednak po przekroczeniu pewnych granic prowadzi do dalszego spadku stopy zysków i inwestycji. Do tego wszystkiego doszły nieprzewidziane ruchy cen surowców i przede wszystkim paliw, które zwiększają koszty rozwoju. Względny ochrony środowiska pogłębiają tę tendencję jeszcze bardziej.

<sup>22</sup> Por. P. F. Drucker, *Managing Capital Productivity*, „Wall Street Journal” z 24 lipca 1975 r.



Wszystko to przychodzi w chwili, kiedy świat potrzebuje zwiększonych, a nie zmniejszonych inwestycji, tańszego, a nie droższego rozwoju. Świat jako całość jest bowiem wysoce nie doinwestowany, a niektóre jego regiony — w sposób wprost niedopuszczalny. Ale nawet regiony o względnym nasyceniu inwestycjami wymagają zasadniczej restrukturyzacji majątku trwałego, którego znaczna część jest w nowych warunkach już nieprzydatna. Tymczasem zaczyna się stawać coraz bardziej jasne, że światu brakuje środków na inwestycje!

Jaką ilustracją tego mogą być potrzeby inwestycyjne USA. Korporacje amerykańskie — wbrew przekonaniom, że zbliżają się do ery samofinansowania się — stają się coraz bardziej zadłużone. Tendencja ta utrzymuje się od początku lat sześćdziesiątych, ale szczególnie nasiliła się w ostatnich 5 latach. W każdym razie, w latach 1960—1974 omawiane zadłużenie potrojiło się i osiągnęło sumę biliona dolarów<sup>23</sup>. Potwierdza to tylko tezę o malejącej stopie zysku. W związku z powyższą sytuacją New York Stock Exchange przeprowadziła studia na temat kształtowania się popytu na kapitał w USA w najbliższej przyszłości. Konkluzje są wręcz rewelacyjne. Potrzeby inwestycyjne USA w latach 1974—1985 (przy założeniu, że gospodarka tego kraju będzie się rozwijać w tempie 3% rocznie) wyniosą 4,5 biliona dolarów<sup>24</sup>. Z tego 2,9 biliona dolarów mogłyby zmobilizować same korporacje, 1,1 biliona mogłoby pochodzić z zagranicy, a 0,5 biliona — po prostu by zabrakło.

Studium nie wyjaśnia, co by było, gdyby konieczna suma okazała się wyższa albo gdyby korporacje nie były w stanie zmobilizować przewidzianych sum lub, wreszcie, gdyby z zagranicy nie napłynęło nic...

Ale gdyby się nawet wszystko sprawdziło, to i tak 1/9 koniecznej do zainwestowania sumy nie ma nigdzie pokrycia. „Przy okazji” USA wysysałyby z reszty świata część środków przeznaczonych na inwestycje, których notabene potrzeba tam jeszcze bardziej niż w samych USA.

Jeśli do tego doszło, to byłoby to zupełnie niezgodne z su-

<sup>23</sup> Por. tamże.

<sup>24</sup> Por. „Financial Times” z 13 stycznia 1975 r. (dodatek: *Finance in New York*).

gestiami II Raportu Rzymskiego o potrzebie „podciągania” krajów mniej rozwiniętych w górę.

Wniosek nasuwa się więc sam: dalsze „powielanie” rozwoju gospodarczego według dotychczasowych wzorców staje się po prostu niemożliwe. Bez radykalnej zmiany całej podstawy i „filozofii” obecnego rozwoju nie da się nie tylko przyspieszyć tempa rozwoju, ale nawet utrzymać obecnego. Jednocześnie nie jest możliwe zatrzymanie rozwoju świata, a w każdym razie przez czas dłuższy. Społeczne konsekwencje tego są bowiem łatwe do przewidzenia.

Wśród istniejących niesocjalistycznych koncepcji rozwojowych żadna nie gwarantuje ani wyrównywania różnic rozwojowych, ani przyspieszania rozwoju, ani nawet jego utrzymania. Jednocześnie sama tylko wiara w geniusz ludzki i w jakieś nieprzewidziane wydarzenia, które razem miałyby pokonać piętrzące się przeszkody na drodze rozwoju — absolutnie już nie wystarcza. W każdym razie wydarzenia takie mogą przyjść za późno, jeśli w ogóle przyjdą.

Dotychczasowy rozwój gospodarki światowej, zwłaszcza w niesocjalistycznej jej części, jest zatem tylko częściowo udany. Nie jest też na razie pewne, czy więcej problemów rozwiązał, czy skomplikował. Wraz bowiem z rewolucją naukowo-techniczną rozwija się swoista „kontrrewolucja rozwojowa”, której wyrazem są: wzrost kosztów rozwoju, brak środków na ten rozwój, bariery stawiane przez środowisko naturalne, nacisk demograficzny i niepewność co do możliwości wystąpienia nowego przezwrotu w nauce i technice. „Kontrrewolucja” tego typu nigdy nie ujawniła się z taką siłą jak obecnie. Ale czy wobec tego należy przed nią kapitulować?

Na szczęście ludzkość ma jeszcze ileś tam dziesiątków lat na rozwiązanie stojących przed nią problemów...

Nie ulega wątpliwości, że spośród wszystkich istot żyjących człowiek wykazuje największą zdolność adaptowania się do zmieniających się warunków, a warunki te niewątpliwie się zmieniają i to głównie w wyniku jego działalności. Dopiero kilka lat temu zdał on sobie sprawę, że działa w ograniczonej sferze przyrodniczej i że wprowadzanie zmian w przyrodzie ma swoje gra-

nice. Dalsze powiększanie tej sfery zaczyna zależeć już tylko od jego geniuszu.

Bez dramatyzowania sprawy trzeba jednak uświadamiać sobie oczywistą prawdę, że w całej historii człowieka nie było okresu, w którym 2—3 pokolenia musiałyby decydować o dalszych losach całego gatunku ludzkiego, jak to niewątpliwie przypada w udziale pokoleniom, z których jedno już żyje wśród nas. Osiem pokoleń stworzyło więc problemy, które muszą być rozwiązane przez następne 2—3 pokolenia...

Wyjście z sytuacji musi istnieć i istnieje. Jest nim maksymalne wyłączenie wszystkich sił ludzkich.

Następne kilkadziesiąt lat trzeba przeznaczyć na stworzenie podstawy wyjściowej do następnego długiego okresu rozwoju ludzkości, w którym nie groziłyby jej żadne bariery rozwojowe. Chyba że typu kosmicznego... Takie wyłączenie sił musiałoby jednak odbyć się na diametralnie odmiennej podstawie od tej, na której opierał się i nadal jeszcze opiera się rozwój społeczno-gospodarczy świata.

Przede wszystkim rozwój gospodarczy musiałby iść w parze ze społecznym, przy czym ten ostatni powinien wyznaczać priorytety temu pierwszemu. Powinno to samo przez się sprzyjać racjonalności produkcji i podziału dóbr oraz eliminacji marnotrawstwa w formie nieproduktywnej konsumpcji. Dalszy rozwój nie mógłby więc być równoznaczny z degradacją społeczeństwa i środowiska naturalnego.

Musiałby on tym samym podlegać innym kryteriom, niż to ma obecnie miejsce w przeważającej części świata. Nie interesy wąskich grup społecznych i niektórych krajów i nie interesy krótkookresowe, a długookresowe interesy całej ludzkości powinny być głównym kryterium dalszej strategii rozwojowej świata.

W praktyce musiałoby to także oznaczać gruntowną przebudowę międzynarodowych stosunków gospodarczych, które zamiast pogłębiać różnice rozwojowe musiałoby zacząć je niwelować.

Nowy, racjonalny międzynarodowy podział pracy, dokonany w wyniku przeobrażeń społeczno-politycznych w świecie, uruchomiłby tkwiące w ludzkości olbrzymie rezerwy rozwojowe, które w krytycznym momencie przyspieszyłyby i potaniły sam

proces rozwoju. Tym samym świat można by bardziej doinwestować i mieć gwarancję, że robi się wszystko, co jest możliwe, aby olbrzymie zadania stojące przed człowiekiem miały przynajmniej pewniejszą i solidniejszą podstawę realizacji.

Nie pomniejszając w niczym barier typu naturalnego, nie należy jednak zapominać, że głównymi barierami są bariery typu społecznego. Ich usunięcie powinno pozwolić na zwielokrotnienie wysiłków ludzkich, co na obecnym etapie staje się wręcz nieodzwonne.

Innej alternatywy nie ma. Stąd też „powielanie” dotychczas dominujących wzorców rozwojowych świata jest wręcz szkodliwe.



## Wykład drugi

### *Handel światowy wczoraj, dziś, a jutro?*

W poprzednim wykładzie wspominaliśmy, że w 1973 r. wartość produktu światowego brutto przekroczyła 4 biliony dolarów (w cenach z 1972 r.). Mimo znacznego zróżnicowania poziomu rozwoju gospodarczego poszczególnych regionów i krajów — jest to liczba olbrzymia. Według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie się ona nieustannie powiększała, choć nie jest pewne, w jakim tempie i gdzie przede wszystkim.

Tak wysoce rozwinięta produkcja światowa stwarza podstawę do rozwijania na szeroką skalę międzynarodowej współpracy gospodarczej, której najbardziej widocznym elementem jest handel międzynarodowy.

Handel międzynarodowy, ilustrowany najczęściej danymi dotyczącymi eksportu światowego, osiągnął w 1974 r. wartość 850 miliardów dolarów<sup>1</sup>. W 1975 r., licząc w cenach 1974 r., nastąpił jego spadek o 5% w związku z recesją panującą w rozwiniętych krajach kapitalistycznych<sup>2</sup>. Udział eksportu w produkcji światowym brutto wynosi obecnie mniej więcej 10% (w cenach 1972 r.), a w 2000 r. ma wzrosnąć do 15%.

Jest to wysoka przeciętna, choć w poszczególnych przypadkach odchylenia są ogromne. Tak np. udział eksportu w produkcji społecznym brutto w przypadku ZSRR i Chin nie przekracza zapewne 3%, w przypadku USA wynosi już około 6%, Japonii — 15%, Wielkiej Brytanii, Francji i RFN — 20—25%, Belgii, Holandii i Węgier — 40%, a „szejkanatów naftowych” — prawdopodobnie 90%, choć dokładnych danych tu brak.

<sup>1</sup> Por. dokument GATT/1166, z 26 sierpnia 1975 r. s. 3.

<sup>2</sup> Natomiast w cenach bieżących eksport światowy wzrósł do 880 miliardów dolarów. Według wstępnych danych wolumen światowego eksportu zwiększył się w tym roku o 10%.

Nie ulega wątpliwości, że między handlem międzynarodowym a produkcją światową istnieje sprzężenie zwrotne. Rozmiary handlu międzynarodowego determinowane są poziomem produkcji światowej, a produkcja światowa z kolei uzależniona jest w poważnym i nawet rosnącym stopniu od poziomu rozwoju handlu międzynarodowego<sup>3</sup>.

Rola handlu zagranicznego w tworzeniu dochodu narodowego poszczególnych krajów nie może być jednak mierzona tylko jego procentowym udziałem. W rzeczywistości zależność ta jest zawsze znacznie większa, niż wynikałoby to z owego procentowego udziału. Funkcjonowanie gospodarki krajowej byłoby bowiem często zupełnie niemożliwe bez importu paliw, surowców, żywności, wyrobów przemysłowych, a ostatnio również myśli technicznej.

Oczywiście istnieją kraje duże, zasobne w surowce i paliwa, rozporządzające dużymi obszarami ziem uprawnych oraz posiadające wszechstronnie rozwiniętą bazę przemysłową i naukowo-techniczną, które są znacznie mniej uzależnione od handlu światowego niż kraje mniejsze i znajdujące się w odpowiednio odmiennych sytuacjach. Ale nawet i te duże kraje, o dużym stopniu samowystarczalności nie stronią od wymiany międzynarodowej, a przeciwnie — coraz bardziej się do niej włączają.

Od zarania swego istnienia handel międzynarodowy spełniał podwójną rolę. Z jednej strony był źródłem dopływu poszukiwanych towarów, z drugiej zaś — źródłem zysków, często lichwiarskich lub nadzwyczajnych, jakby to powiedziano później. „Po drodze” handel międzynarodowy przyczyniał się do wzajemnego przenikania różnych cywilizacji i tym samym spełniał też rolę nośnika postępu. Bywało też i tak, że był źródłem ucisku, a nawet konfliktów zbrojnych. Zawsze jednak był czynnikiem integrującym gospodarkę światową, która w chwili obecnej osiągnęła wysoki stopień wzajemnej współzależności, od którego zapewne nie ma już odwrotu.

Jak już wspominaliśmy w poprzednim wykładzie — świat jest „skazany” na rozwój i to możliwie szybki, choć mnożą się wąt-

<sup>3</sup> Uważa się, że około 1/3 inwestycji w krajach niesocjalistycznych związane jest z potrzebami handlu międzynarodowego.

pliwości, czy jest to możliwe. Jeszcze bardziej jednak świat jest „skazany” na wzajemną współpracę gospodarczą.

Handel międzynarodowy należy do starych zajęć człowieka i jeśli tylko archeologowie znajdują ślady jakiejś cywilizacji, to niemal zawsze odnajdują również ślady jakiejś wymiany „międzynarodowej”.

„Prawdziwy” handel międzynarodowy jest jednak w dziejach ludzkości stosunkowo młodym zjawiskiem. Prawdziwie nowoczesna wymiana międzynarodowa rozwijała się równoległe z rewolucją przemysłową. Gwałtowny wzrost popytu, wywołany szybkim rozwojem gospodarczym i towarzyszącą mu eksplozją demograficzną, stał się bodźcem do powiększania wymiany międzynarodowej i wzbogacania jej form. Przewrót w środkach transportu i łączności zbliżył do siebie kraje i kontynenty i zniósł szereg fizycznych barier ekspansji obrotów. Nie mniejszą rolę odegrał „układ smarowania” wymiany międzynarodowej w postaci nowoczesnego systemu wzajemnych rozliczeń opartego na wymienialności walut, swobodnym ich transferze i ruchu kapitałów.

To właśnie handel międzynarodowy i towarzyszący mu ruch kapitałów dokonały „specjalizacji produkcyjnej” całych krajów i kontynentów, a specjalizacja ta pod ich wpływem dokonuje się nadal.

Nie wolno też zapominać, że handel międzynarodowy przez około 150 lat był w 100% handlem typu kapitalistycznego, że potem przez następne ponad 25 lat po Rewolucji Październikowej był nim prawie w 99%, a obecnie jest nim ciągle w około 90%.

Przez wiele lat handel międzynarodowy był najczęściej przedstawiany jako swego rodzaju „dobrodziej”, dzięki któremu gospodarka światowa mogła się rozwijać, a ludy bogacić. Tylko marksiści uważali, że ta sielankowa wizja niezupełnie odpowiada rzeczywistości. Wskazywali oni na to, że handel międzynarodowy jeszcze przed powstaniem kapitalizmu był poważnym czynnikiem akumulacji pierwotnej kapitału. Potem, już w kapitalizmie, stał się czynnikiem wyzysku w skali międzynarodowej i źródłem zysków nadzwyczajnych. Nieprzypadkowo też kraje socjalistyczne zaczęły głosić od początku swego istnienia za-

sadę wzajemnych korzyści w handlu, która jest czymś diametralnie różnym od zasady korzyści komparatywnych głoszonej przez klasyków ekonomii burżuazyjnej. Zasada wzajemnych korzyści zakłada bowiem równość partnerów, co samo przez się powinno wykluczać wykorzystywanie handlu jako środka wyzysku.

Obecnie już nie tylko marksiści wykazują „czujność” wobec handlu międzynarodowego. Również w krajach rozwijających się dostrzeżono, że handel ten może wzbogacać jednych, a zubożać drugich.

Handel międzynarodowy jednakże nie mógł i nadal nie może być oderwany od konkretnych podmiotów i przedmiotów w nim występujących.

Głównym podmiotem kapitalistycznego handlu międzynarodowego jest kapitał prywatny. Co prawda nie jest to podmiot jedyny, zwłaszcza w okresie przechodzenia kapitalizmu wolno-konkurencyjnego w stadium monopolistyczne, kiedy ważnym podmiotem zaczęła się stawać również bezpośrednia ingerencja państwa w handel (pośrednia istniała zawsze). Ale kapitał prywatny pozostał tu nadal podmiotem dominującym.

Można by tylko dodać, że ostatnio kapitał ten „umiędzynarodowił się”, choć niesłusznie przypisuje mu się przejście do jakiejś formy „multinarodowej” czy „transnarodowej”. Raczej tylko jego działalność przybrała zasięg globalny, ale zachował on nadal swą narodową cechę<sup>4</sup>, choć skrzętniej ukrytą niż dawniej.

Kapitał bowiem, „żyjąc z zysku i wyzysku”, był i jest dzięki tej właściwości zainteresowany w maksymalnej swobodzie działania. Zwłaszcza jeśli wie, że swoboda ta pozwoli mu na złamanie słabszego konkurenta i rozszerzenie swego „obszaru gospodarczego”, jak to ongiś trafnie uogólnił R. Hilferding<sup>5</sup>. Stąd też kapitał, zwłaszcza potężny i doświadczony, chciał zawsze „wolnego handlu”. Cechy te reprezentował w przeszłości przede wszystkim, a nawet prawie wyłącznie, kapitał brytyjski.

„Dobrodziejstwa wolnego handlu” przedstawiano zazwyczaj za

<sup>4</sup> Tak słusznie twierdzą R. J. Barnet i R. E. Mueller w pracy: *Global Reach*, New York 1974.

<sup>5</sup> R. Hilferding co prawda nie uważał, że wolny handel jest konieczny do poszerzenia owego „obszaru”. Chodzi jednak o samo pojęcie „obszaru”. Por. R. Hilferding, *Kapitał finansowy*, Warszawa 1958, s. 641.



pomocą uproszczonej formuły korzyści komparatywnych, w myśl której kapitał działający bez skrępowania mógł niejako automatycznie dokonywać „rozdziła zadań” produkcyjnych w skali światowej w sposób maksymalnie racjonalny i to rzekomo absolutnie korzystny dla wszystkich. Zwolennicy idei „wolnego handlu” nie mogli jakoś dostrzec, że życie dalekie było od ideału i że ów „rozdziła zadań” bynajmniej nie poszedł po linii maksymalnie racjonalnej, co doprowadziło do nierównomiernego rozwoju gospodarki światowej.

Młodsze i słabsze kapitały zaczęły się bowiem obawiać o swą egzystencję i, nawet jeśli działały w suwerennych krajach, bały się swoistej kolonizacji przez kapitał obcy. Szukały więc obrony przed nim u własnych rządów, co prowadziło do różnych praktyk protekcyjnych. Znacznie gorzej było w krajach kolonialnych lub nowo wyzwolonych z jarzma kolonializmu. Tam rodzimego kapitału nie było, a ponadto nie było gdzie szukać protekcji.

Gwoli ścisłości więc „wolnego handlu” tak naprawdę to nigdy nie było, a w każdym razie nie w stopniu głoszonym przez jego apologetów. Był on co prawda formą główną, ale wątpliwe nawet czy dominującą (chyba że „wymianę” Wielkiej Brytanii z jej koloniami uznamy za „wolny handel”).

Nie można też dokładnie obliczyć, w jakim stopniu handel międzynarodowy w ciągu pierwszych 150 lat ery przemysłowej przyczynił się do nierównomierności rozwoju gospodarczego świata, ale nie ulega wątpliwości, że odegrał on pod tym względem rolę ogromną, jeśli wręcz nie decydującą. Międzynarodowy handel tego okresu był bowiem handlem nie tylko typu kapitalistycznego, ale może nawet przede wszystkim — typu kolonialnego. Jako taki dokonywał międzynarodowej specjalizacji produkcyjnej w sposób szczególny.

Mówiąc inaczej, handel międzynarodowy owego okresu przyczynił się do powstania i utrwalenia się podziału na „dominujące centrum”, które stanowiły przede wszystkim ówczesne metropolie, a dziś rozwinięte kraje kapitalistyczne, i „gospodarczy hinterland”<sup>6</sup>, w skład którego wchodziły obecne kraje rozwijające się. Nie chodzi tu nawet o to, że dzięki wykorzystaniu han-

<sup>6</sup> Obecnie mówi się też „peryferie”.

dlu międzynarodowego „centrum” chciało sobie zapewnić źródła zaopatrzenia w surowce i żywność, a o zduszenie w zarodku (tak jak to uczyniła np. Wielka Brytania w Indiach) pierwszych oznak industrializacji i stworzenie „antyindustrializacyjnych” warunków w krajach obecnego tzw. Trzeciego Świata.

Owo „zwichnięcie” rozwoju gospodarki światowej w ciągu pierwszych 150 lat ery przemysłowej zostało następnie pogłębione, zwłaszcza w okresie tzw. wielkiego kryzysu i po II wojnie światowej. Wyjątek stanowiły jedynie kraje, które wyrwały się spod panowania kapitalizmu i przeszły na drogę budownictwa socjalistycznego.

Można więc z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że kapitalistyczny handel międzynarodowy stał się nośnikiem nierównomiernego rozwoju gospodarki światowej. Co więcej, w dobie imperializmu tendencja ta się jeszcze pogłębiła, co nadało międzynarodowym stosunkom gospodarczym charakteru konfliktowego.

Handel światowy, zdominowany przez wspomniane „centrum”, wytworzył jednak specyficzną „strukturę”, czyli zespół zasad dominujących w międzynarodowych stosunkach gospodarczych, na których opierała się gospodarcza współzależność krajów. „Struktura” ta wyjątkowo mało elastycznie przystosowywała się do zmieniających się warunków w świecie. Na zmiany reagowała raczej wrogo. Wprawdzie powrót do czasów „polityki kanonierek” jest dzisiaj trudniejszy, ale wobec wszystkich, którzy wyłamują się z tej „struktury”, nie wyłączając krajów socjalistycznych, „centrum” stosowało i stosuje nadal środki retorsyjne, takie jak bojkot, embargo czy inne formy dyskryminacji handlowo-ekonomicznej.

„Centrum dominujące” — i towarzysząca mu nadbudowa w formie omawianej „struktury” — ograniczało się i ogranicza do dziś, choć w mniejszym stopniu i w innym układzie, do kilku krajów, które od początku ery przemysłowej odgrywały czołową rolę w handlu międzynarodowym.

W ciągu co najmniej 100 lat owo „centrum” prawie w połowie stanowiła Wielka Brytania, która panowała na rynku światowym. Tworzona przez nią „struktura” była typu „wolnohandlowego”. Obalenie przez nią w 1846 r. tzw. Corn Laws przyczyniło się poważnie do liberalizacji handlu światowego, podob-

nie jak podpisanie przez nią w 1860 r. tzw. umowy Cobdena-Chevaliera z Francją, która pomogła w liberalizacji handlu w całej ówczesnej Europie.

Pod koniec XIX w. sytuacja w „centrum” zaczęła się jednak zmieniać. Rola Wielkiej Brytanii i jej głównego konkurenta — Francji, zaczęła się zmniejszać. Na widownię zaczęły wkraczać USA i Niemcy.

Na początku XX w. „centrum” wyglądało zupełnie inaczej niż dawniej. W 1910 r. największym mocarstwem ekonomicznym świata były już USA. Mniej więcej w tym samym czasie na drugie miejsce w świecie pod tym względem wyszli Niemcy, relegując Wielką Brytanię na miejsce trzecie. Niemcy zaczęły wówczas wykazywać szczególną agresywność na rynku światowym, zwłaszcza w handlu produktami przemysłu ciężkiego. Szybko wzrastała też potęga carskiej Rosji i Japonii.

Tuż przed wybuchem I wojny światowej, tj. w 1913 r., udział Europy w produkcji światowej wynosił 42%<sup>7</sup>, tzn. tyle, ile udział samej Wielkiej Brytanii w połowie XIX w. W „centrum”, mimo przesunięć, Europa nadal odgrywała dominującą rolę. Na drugim miejscu znajdowała się Ameryka Północna z 26-procentowym udziałem, a następnie Azja, której udział wyniósł 21%.

Półowa eksportu światowego (50,4%) przypadała w tym czasie na 4 kraje „centrum”, tj. na Wielką Brytanię (14,7%), USA (14%), Niemcy (13,8%) i Francję (8%). Mimo ogólnie osłabionej pozycji Wielkiej Brytanii w „centrum”, pozostała ona jednakże nadal głównym mocarstwem handlowym świata (w imporcie przewaga jej była jeszcze większa).

Warto dodać, że obok wymienionej „wielkiej czwórki” dość ważną pozycję w handlu światowym zajmowały tzw. Indie Wschodnie (obecnie Indie, Pakistan i Bangladesz), Rosja, Argentyna, Brazylia i Chiny, które to kraje ciągle jeszcze wyprzedzały Japonię, stawiającą dopiero pierwsze kroki na rynku światowym.

Najważniejsze jednak, że ponad połowa produkcji światowej i handlu międzynarodowego przypadała tylko na wymienione cztery kraje „centrum”, co z niewielkimi zmianami przetrwało

<sup>7</sup> Por. *Memorandum sur la production et le commerce 1913 et 1923/27*, Ligue des Nations, Genève 1928, tabl. VIII.

niemal do dnia dzisiejszego. Cała „wielka czwórka” nadawała więc przysłowiowy „ton” procesowi kształtowania się międzynarodowego podziału pracy, którego początki stworzyła już wcześniej Wielka Brytania.

Innymi słowy — to właśnie imperia kolonialne i w ogóle rozwinięte kraje kapitalistyczne, z których składało się „centrum”, stały się głównym „sprawcą” specyficznie ukształtowanego międzynarodowego podziału pracy, który przyczynił się do powstania i utrwalenia się nierównomierności rozwojowych w świecie. Handel międzynarodowy w owych czasach, jak na ówczesny poziom rozwoju gospodarki światowej, był już bowiem dobrze rozwinięty i dlatego naprawdę mógł mieć wpływ na kierunki tego rozwoju.

Tak np. wartość eksportu światowego w 1913 r. wyniosła 18,3 miliarda dolarów ówczesnych, co prawdopodobnie równałoby się 60—70 miliardom dolarów dzisiejszych. Uwzględniając jednak fakt, że produkcja światowa była wówczas ponad 10-krotnie mniejsza niż obecnie — możemy mówić o olbrzymiej roli handlu międzynarodowego w rozwoju ówczesnej gospodarki światowej. Udział handlu międzynarodowego w produkcie światowym brutto był prawdopodobnie zbliżony do obecnego.

Pierwsza wojna światowa wniosła jednak poważne zmiany do powyższego obrazu sytuacji. Sam wybuch wojny nie był co prawda bezpośrednio związany ze względami natury handlowej, ale nie ulega wątpliwości, że ówczesne sprzeczności imperia-listyczne, które przejawiały się głównie w walce o rynki zbytu i dostaw, stworzyły odpowiednią atmosferę do konfliktu, który czekał tylko na „swoją” iskrę. Na rynku światowym zaczęło się już robić ciasno i trzeba było dokonać pewnych „rozluźnień”...

Jednakże wyniki I wojny światowej, jak wyniki każdej wojny, wniosły szereg nieoczekiwanych zmian. Pozycja Wielkiej Brytanii, Niemiec i Francji uległa osłabieniu. Wzmocniła się zaś pozycja USA i w mniejszym stopniu Japonii. Z systemu kapitalistycznego odpadła Rosja, która stała się pierwszym krajem socjalistycznym. Wyłamanie się Rosji z kapitalistycznego rynku światowego miało znacznie większe znaczenie, niż początkowo przypuszczano.

W każdym razie w „centrum” nastąpiły pewne przesunięcia,



a w towarzyszącej mu „strukturze” — swoistego rodzaju zamieszanie. Dawne bowiem, niepodzielnie dotąd panujące, zasady w międzynarodowych stosunkach gospodarczych uległy poważnemu zachwianiu.

USA wysunęły się zdecydowanie na pierwsze miejsce w „centrum”, ale w swej polityce zagranicznej przeszły do izolacjonizmu i w ogóle nie bardzo wiedziały, jak korzystać z roli przywódczej w owym „centrum”. Ledwie bowiem świat kapitalistyczny otrząsnął się ze skutków I wojny światowej, a już USA „sprawiły” mu tzw. wielki kryzys, który przerósł wszystkie znane dotąd kryzysy w historii.

Wprowadzenie w 1931 r. wysoce protekcjonistycznej taryfy celnej Smoota-Hawley'a, co było dowodem nieudolności USA w walce z kryzysem, nie tylko stworzyło niebezpieczny precedens do naśladownictwa, ale po prostu uderzyło w handel światowy. Teraz już kryzys łatwo przerzucił się do pozostałych krajów kapitalistycznych albo pogłębił już w nich istniejący.

Wszystko to stało się w chwili, kiedy jak już wspominaliśmy, świat kapitalistyczny ledwie otrząsnął się ze skutków wojennych. W najlepszym przedkryzysowym roku, tj. 1928 r., eksport światowy był już wartościowo o 10<sup>0</sup>/o wyższy niż w 1913 r. (pod względem wolumenu nawet o 20<sup>0</sup>/o) i handel światowy zaczął się jako tako „rozkręcać”.

Oczywiście znowu trudno dokładnie obliczyć, w jakim stopniu I wojna światowa i okres lat dwudziestych, stwarzając zakłócenia w handlu międzynarodowym, wpłynęły na nierównomierny rozwój gospodarki światowej. Pewne jest jednak, że „nienormalna” wymiana międzynarodowa okresu I wojny światowej i lat powojennych utrzymała tendencję do nierównomiernego rozwoju gospodarki światowej, która wystąpiła już wcześniej — wtedy, gdy wymiana ta odbywała się w „normalnych” warunkach.

W przeddzień wielkiego kryzysu układ sił w „centrum” potwierdził umocnienie się roli USA, które stały się głównym eksporterem i miejsce to zachowały do dziś (ale największym importerem pozostała wtedy nadal Wielka Brytania). Niemcy i Francja, podobnie jak Wielka Brytania, utrzymywały się ciągle w ścisłej czołówce eksporterów, ale ich udział w eksporcie światowym spadł. Wzrósł natomiast udział Kanady, Japonii, Argen-

tyny, Chin, Szwecji, Szwajcarii i Australii. Udział Indii Wschodnich i Brazylii utrzymał się na nie zmienionym poziomie, spadł zaś udział Belgii. Poważnemu zmniejszeniu w stosunku do udziału Rosji carskiej uległ też udział ZSRR w handlu światowym. W „centrum” nastąpiły więc pewne przesunięcia i poszerzyło się ono o kilku nowych członków spośród rozwiniętych krajów kapitalistycznych.

Wielki kryzys, podobnie jak I wojna światowa, wniósł jednak wiele zmian do międzynarodowych stosunków gospodarczych. Handel światowy, a w jeszcze większym stopniu ruch kapitałów, uległ bowiem w tym okresie poważnemu załamaniu.

Ostatecznie jednak kapitalizm wyszedł w końcu lat trzydziestych z kryzysu, „sprawiając” sobie po drodze dojście Hitlera do władzy w Niemczech. Ale chociaż produkcja światowa w 1937 r. była już nawet o 20<sup>0</sup>/o wyższa niż w 1928 r., to jednak handel światowy nie mógł wyjść z impasu i był odpowiednio o 3<sup>0</sup>/o niższy.

Zamieszanie w „centrum” spowodowało równoległe zamieszanie w „strukturze”. Względny liberalizm handlu światowego sprzed I wojny światowej, zakłócony w okresie wojennym i mozolnie odbudowywany w latach dwudziestych, ustąpił teraz miejsca protekcjonizmowi i autarkizmowi. Początek dały temu USA, co ze względu na ich dominującą rolę w „centrum” musiało mieć daleko idące reperkusje. Co prawda USA starały się potem zliberalizować handel światowy, ale obrały taką podstawę wyjściową do tych poczynań i taki okres, że nie można już było przywrócić poziomu wymiany międzynarodowej choćby z 1928 r., jakkolwiek formalnie baza do przekroczenia tego poziomu w postaci większego wolumenu produkcji istniała.

W przeddzień wybuchu II wojny światowej układ sił w „centrum” uległ więc dalszemu przegrupowaniu. Na czwarte miejsce, po USA, Wielkiej Brytanii i Niemczech (z Austrią) wyszła Japonia, spychając Francję na miejsce piąte. Połowa światowego eksportu (50,8<sup>0</sup>/o) przypadała już nie na 4 kraje, jak to miało miejsce w 1913 r., a na 8 krajów<sup>8</sup>: USA (13,2<sup>0</sup>/o), Wielką Brytanię (10,2<sup>0</sup>/o), Niemcy z Austrią (9,3<sup>0</sup>/o), Japonię (4,7<sup>0</sup>/o), Fran-

<sup>8</sup> Por. Memorandum sur le commerce et les balances, Ligue des Nations, Genève 1939.

cję (3,9%), Kanadę (3,9%), Belgię (3%) i Indie Wschodnie (2,6%). Wśród 8 krajów „centrum” 7 należało do grupy rozwiniętych krajów kapitalistycznych, jeden zaś był kolonią brytyjską. Jedno z ważniejszych miejsc w handlu światowym utraciły Chiny, a pozycja Argentyny i Brazylii uległa osłabieniu.

Utrzymująca się przez długi czas w krajach „centrum” depresja gospodarcza nie tylko zredukowała popyt na towary pochodzące z „hinterlandu”, ale także załamała ceny na te towary. Warto dodać, że w 1938 r. udział krajów „centrum” w handlu światowym wynosił 62%, krajów „hinterlandu” zaś — 37%.

Handel międzynarodowy lat trzydziestych stał się ponadto czynnikiem transmisji kryzysu z rozwiniętych krajów kapitalistycznych do krajów słabo rozwiniętych, co dodatkowo hamowało ich industrializację (hamowana była ona bowiem zawsze) i utrwalało i tak już niekorzystną ich pozycję w międzynarodowym podziale pracy. „Centrum”, posługując się stworzoną przez siebie „strukturą”, nałożyło więc jakby swoisty podatek na „hinterland”, przerzucając nań część skutków kryzysu.

W takiej sytuacji wybuchła II wojna światowa. W jej wyniku od kapitalizmu oderwały się dalsze kraje, które weszły na drogę budowy socjalizmu. Zaczął się też proces rozpadu systemu kolonialnego.

W „centrum” nastąpiły daleko idące zmiany, aczkolwiek jego zasadniczy skład utrzymał się nadal. Znowu, jak po I wojnie światowej, umocniła się rola USA. Tak jak 100 lat wcześniej połowa światowej produkcji przypadała na Wielką Brytanię, tak teraz przypadała na USA. Tym razem jednak kraj ten postąpił inaczej niż po I wojnie i nie usunął się w cień izolacjonizmu. Przeciwnie, postanowił nie tylko zachować i umocnić swą rolę w „centrum”, ale także zachować i umocnić rolę samego „centrum” w świecie, choćby nawet na zmniejszonym obszarze.

Z jego inicjatywy utworzono Międzynarodowy Fundusz Walutowy (IMF) i Układ Ogólny w Sprawie Ceł i Handlu (GATT), które miały stanowić już „pisaną”, nie tylko stosowaną w praktyce „strukturę”, mającą wiernie służyć interesom „centrum”.

Posługując się różnymi rządowymi „programami pomocy”, z których największą rolę odegrał plan Marshalla, USA zaczęły

„stawiać na nogi” główne kraje „centrum”, już bez względu na to, kim one były wczoraj.

Podjęły też kampanię represyjną w stosunku do krajów, które nie chciały się poddać tworzonej przez „centrum” „strukturze”, tj. w stosunku do krajów socjalistycznych. W sposób pośredni i bezpośredni zaczęły również neutralizować zbyt radykalny, ich zdaniem, ruch w „hinterlandzie”, starając się utrzymać go w „strukturze”.

W wyniku tych poczynań główne kraje „centrum” zaczęły stopniowo odbudowywać swą pozycję.

W 1950 r. wolumen eksportu światowego był już o 22% większy niż w 1938 r. (wyniósł 58,2 miliardów ówczesnych dolarów). Ale „centrum” dla uzyskania połowy tego eksportu musiało już „wykorzystać” aż 9 krajów. Udział jednak poszczególnych krajów był tu wysoce zróżnicowany. Na USA przypadało 17,2% światowego eksportu, na Wielką Brytanię — 10,5%, na Francję — 5,5%, na Kanadę — 5%, na RFN — 3,4%, na Belgię — 2,7%, na Holandię — 2,4%, Włochy — 2% i Szwecję — 1,9%<sup>9</sup>. Rozproszenie sił w „centrum” było więc duże. Na USA i Wielką Brytanię przypadała zatem połowa eksportu „centrum”. Znaczenie innych krajów w „centrum” było mniejsze.

Warto zaznaczyć, że spośród krajów wymienionej „dziewiątki” nie wszystkie zajmowały takie miejsca w eksporcie światowym, jakie wynikałyby z powyższego zestawienia. Podobnie jak w 1938 r., pierwsze 7 miejsc przypadało na wymienione rozwinięte kraje kapitalistyczne, ale Włochy zajmowały w tym czasie dopiero dwunaste miejsce w eksporcie światowym (przed nimi znalazły się Argentyna, dzisiejsza Malezja, Brazylia i Wenezuela), Szwecja zaś czternaste (na trzynastym miejscu znalazły się Indie). Dane dotyczące udziału ZSRR w handlu międzynarodowym nie były wówczas publikowane.

Jednakże okres następnych 25 lat przyniósł zasadnicze zmiany.

Jeszcze w 1950 r. udział krajów słabo rozwiniętych, lub „hinterlandu”, w eksporcie światowym wynosił prawie 32%<sup>10</sup>, a krajów rozwiniętych, lub „centrum”, 61%, ale już w 1970 r. udział

<sup>9</sup> Por. *Yearbook of International Trade Statistics*, 1952, UN, New York 1952, s. 10-17.

<sup>10</sup> Por. tamże.



tych pierwszych spadł do niecałych 18%, podczas gdy tych drugich wzrósł do ponad 70%<sup>11</sup>. Dominująca rola rozwiniętych krajów kapitalistycznych w handlu światowym poważnie więc się wzmocniła w omawianym okresie.

W 1970 r. połowa światowego eksportu (53%) przypadała na 7 krajów „centrum”. Jednakże w samym „centrum” zaszły dość istotne przesunięcia. Podczas gdy jeszcze w 1950 r. dwa kraje, tj. USA i Wielka Brytania, miały ponad połowę udziału w eksporcie „centrum”, to w 1970 r. udział ten nie wynosił już nawet 40% (udział USA w eksporcie światowym spadł z 17,2% w 1950 r. do 14,6%, Wielkiej Brytanii zaś odpowiednio — z 10,5 do 6,2%).

Relatywne osłabienie pozycji obu krajów zostało zrekompenzowane wzrostem roli innych krajów. Tak np. na drugie po USA miejsce w eksporcie światowym, a tym samym i w „centrum”, wyszła RFN (prawie 11% udziału w 1970 r. wobec 3,4% w 1950 r.), a trzecie i czwarte podzieliły Japonia i Wielka Brytania (oba kraje miały po 6,2% udziału). Na piątym miejscu znalazła się Francja (5,7%).

W handlu światowym, a jeszcze bardziej w „centrum”, wykrystalizowała się wyraźnie „wielka piątka”, na którą przypadało w 1970 r. prawie 44% światowego eksportu. Sytuacja przypominała stan z 1913 r., kiedy dominującą rolę odgrywała „wielka czwórka” (nie było w niej jednak wtedy Japonii), której udział w eksporcie światowym wynosił prawie 51%.

Umocnienie się roli rozwiniętych krajów kapitalistycznych (a w tym głównie „centrum”) w handlu światowym, odbyło się więc kosztem krajów rozwijających się, czyli „hinterlandu”.

Co się zaś tyczy krajów socjalistycznych, to ich udział w handlu międzynarodowym w omawianym okresie nieco się zwiększył. Warto jednak zaznaczyć, że zasadnicza poprawa ich pozycji w tym handlu nastąpiła w latach pięćdziesiątych. W połowie lat sześćdziesiątych udział ich dochodził już do 12%, wobec 7% w 1950 r., ale w 1970 r. spadł on do 10%.

Umocnienie się „centrum” w handlu światowym należy przypisać co najmniej dwóm przyczynom:

<sup>11</sup> Por. *International Trade 1973/74*, GATT, Genève 1974, s. 10—17.

— szybszemu wzrostowi światowych obrotów wyrobami przemysłowymi niż paliwami, surowcami i żywnością;  
— postępującej liberalizacji obrotów, głównie w handlu wzajemnym rozwiniętych krajów kapitalistycznych, a tym samym w ramach „centrum”.

Warto zaznaczyć, że w 1938 r. paliwa, surowce i żywność stanowiły ponad połowę (około 60%) światowych obrotów towarowych, ale już w 1970 r. udział ich spadł do 40%. Proporcje się więc odwróciły.

Szybszy wzrost obrotów wyrobami przemysłowymi niż tzw. towarami podstawowymi wynikał zarówno z szybszego wzrostu produkcji przemysłowej niż produkcji globalnej w świecie, jak i z szybszego wzrostu cen na wyroby przemysłowe.

Co się zaś tyczy liberalizacji obrotów światowych, to została ona zaaranżowana przez „strukturę” w taki sposób, aby głównymi jej beneficjentami były rozwinięte kraje kapitalistyczne. Redukcje cel, znoszenie ograniczeń importowych i eksportowych — wszystko to dotyczyło głównie wyrobów przemysłowych, zwłaszcza pochodzących z omawianych krajów. Do tego doszła jeszcze liberalizacja obrotów w ramach EWG i EFTA oraz w ramach amerykańsko-kanadyjskiej „strefy wolnego handlu” w odniesieniu do części i podzespołów samochodowych.

W każdym razie w wyniku kolejnych „rund” prowadzonych w ramach GATT, wprowadzania wymiennalności walut i znoszenia ograniczeń dewizowych oraz innych akcji dokonywanych w ramach IMF, a także różnych konsultacji i akcji w ramach OEEC, a potem OECD „struktura” stworzyła dogodne warunki do ekspansji wymiany przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, między rozwiniętymi krajami kapitalistycznymi.

Dodatkowym elementem, a od pewnego czasu (tzn. poczynając od lat sześćdziesiątych) bodajże decydującym była również olbrzymia i rosnąca rola „korporacji globalnych” w omawianej ekspansji wzajemnych obrotów. Korporacje te, rozszerzając swą działalność w ogóle, a „międzyfiliąlną” w szczególności — zdynamizowały poważnie obroty światowe, a przede wszystkim wymianę między rozwiniętymi krajami kapitalistycznymi.

W efekcie powyższego rozwoju sytuacji pogłębiła się specjalizacja w produkcji, co z kolei stworzyło dogodną podstawę do dywersyfikacji i wzrostu obrotów, zwłaszcza artykułami przemysłowymi. Warto dodać, że w ramach tej grupy artykułów najszybciej wzrastały obroty półproduktami i podzespołami. Stąd też wydawało się, iż fakt, że obroty krajów kapitalistycznych, a w tym i „centrum”, wzrastały najszybciej, wynika z przyczyn obiektywnych.

Warto również podkreślić, że podczas gdy eksport światowy w cenach bieżących wzrósł w omawianym okresie prawie 6-krotnie, to wywóz realizowany w ramach grupy rozwiniętych krajów kapitalistycznych — aż 11,5-krotnie. Można więc powiedzieć, że w omawianym okresie następowała integracja obrotów rozwiniętych krajów kapitalistycznych, chociaż formy instytucjonalne tej integracji (jak np. EWG i EFTA) były różne. Jednocześnie trwał proces dezintegracji handlu światowego wynikający z malejącego udziału w nim krajów rozwijających się.

Nierównomierność rozwoju gospodarki światowej w układzie regionalnym musiała się oczywiście odbić na nierównomierności rozwoju handlu światowego, choć prostej współzależności między tymi dwoma zjawiskami nie było (tak np. najszybciej gospodarczo rozwijającym się regionem świata były europejskie kraje socjalistyczne, co jednak nie znalazło odbicia w rozwoju ich handlu). Niemniej taka ogólna współzależność istniała. Zaczęło się więc wytwarzać „błędne koło”, z którego wyjścia „struktura” nie widziała i nawet nie chciała widzieć. Jak już bowiem wspomniano wyżej, „centrum” było zainteresowane w stworzeniu takiej „struktury”, która odpowiadałaby jego interesom. Zagadnieniu temu należy poświęcić nieco uwagi.

Historycznie rzecz biorąc, „centrum” nie miało dawniej „zinstytucjonalizowanej struktury” w formie jakichś multilateralnych porozumień czy organizacji międzynarodowych. „Struktura” istniała jakby „sama przez się”. „Centrum” nie miało nawet określonych koncepcji w sprawie jej utworzenia. Wierzone w „wolny handel”, choć uciekano się często do protekcjonizmu. Zasady, na których opierał się cały system międzynarodowych stosunków gospodarczych, były ogólnie zgodne z kapitalistycznym sposobem produkcji. Różne „poprawki” wnoszone do tego

sposobu w okresie wzmoczonego interwencjonizmu rządowego sprawiały jednak wiele „kłopotliwych” sytuacji, które komplikowały „strukturę” i czasem źle służyły „centrum”. Stąd też jeszcze w czasie trwania II wojny światowej zaczęto myśleć o przyszłej „strukturze” międzynarodowych stosunków gospodarczych.

Doświadczenia w tej dziedzinie sprzed I wojny światowej praktycznie nie było żadnego. Okres zaś tej wojny i lata powojenne zostawiły po sobie dość specyficzne doświadczenia, głównie w dziedzinie rozliczeń różnych zobowiązań, które potem „straszyły” latami wszystkich. Doświadczenia okresu wielkiego kryzysu były jeszcze bardziej „kłopotliwe”. Sprawy próbowano wówczas „łatać” różnymi porozumieniami dwustronnymi. Podjęte bowiem wcześniej przez Ligę Narodów próby stworzenia jakiejś międzynarodowej organizacji handlowej spełzły na niczym<sup>12</sup>.

W związku z tym w trakcie II wojny światowej, a konkretnie po przystąpieniu do niej USA, kiedy to zaczęto się zastanawiać nad stworzeniem przyszłej „struktury”, nie było jakiejś wyraźnej koncepcji dotyczącej jej form i zasad funkcjonowania. Rozmowy w tej sprawie ograniczały się jednakże tylko do 2 krajów „centrum”, tj. USA i Wielkiej Brytanii.

Cała sprawa miała dość osobliwy kontekst. USA, które jeszcze w latach trzydziestych w szerokim zakresie przeszły na interwencjonizm państwowy w gospodarce (New Deal), a wzmocniły go dodatkowo w okresie wojny, odczuwały jakąś swoistą nostalgię za minionym okresem kapitalizmu wolnokonkurencyjnego i niemal obsesyjnie głosiły nawrót do „wolnego przedsiębiorstwa” i „wolnego handlu”. Nigdy jednak nie zdefiniowały dokładnie, co rozumiały pod pojęciem „wolne przedsiębiorstwo”.

Bardziej skonkretyzowane idee miały USA w odniesieniu do pojęcia „wolny handel”. Nie były one bynajmniej identyczne z jakimś leseferyzmem, a raczej były kontynuacją polityki handlowej tego kraju z lat trzydziestych. Najlepiej wyjaśnił to ówczesny sekretarz stanu USA Cordell Hull, który stwierdził, że: „dzisiaj wolnym kupcem jest osobnik, który wierzy, iż ochrona celna jest wystarczająca i że cła powinny być w zasadzie stałe i po-

<sup>12</sup> Formalnie rzecz biorąc, główną rolę w załamaniu się tych prób odegrała... Polska.



winy być przedmiotem klauzuli największego uprzywilejowania, tj. zasady niedyskryminacji”<sup>13</sup>.

Definicja ta stała się credo amerykańskiej polityki handlowej. Sprowadzało się ono zatem do poglądu, że handel zagraniczny powinien być w rękach „wolnych przedsiębiorców” i rząd nie powinien się do niego mieszać. Jednakże handel ten może mieć jednocześnie ochronę celną. Innymi słowy, handel międzynarodowy w pojęciu amerykańskim powinien się opierać na zasadach wynikających z mariażu „wolnego przedsiębiorstwa” z „wolnym handlem”.

Taki „wolny handel” w wydaniu amerykańskim odpowiadał nawet zwolennikom protekcjonizmu, gdyż dopuszczał ochronę celną. Wątpliwości mogły tu istnieć tylko co do stopnia tej ochrony.

Amerykańskie koncepcje „nowego ładu handlowego” w świecie opierały się także na przekonaniu, że „wolne przedsiębiorstwo” będzie zjawiskiem uniwersalnym w świecie. Jednakże już w 1945 r., tj. niemal nazajutrz po zakończeniu II wojny światowej, można było mieć co do tego poważne wątpliwości, na co zwracał uwagę G. Haberler<sup>14</sup>. Rozwój sytuacji w świecie wskazywał bowiem wyraźnie, że idee planowania rozwoju gospodarczego oraz interwencjonizmu państwowego zyskują coraz więcej zwolenników. Ponadto, wydarzenia z okresu wielkiego kryzysu, masowe bezrobocie i spadek produkcji bynajmniej nie zatarły się jeszcze w pamięci ludzkiej.

Stąd też nawet takie dwa filary ówczesnego „centrum” i systemu kapitalistycznego w ogóle, jak USA i Wielka Brytania, nie mogły znaleźć wspólnego języka w kwestii kształtu przyszłych porządków handlowych w świecie, czyli „struktury”. O ile USA kładły nacisk na „wolne przedsiębiorstwo” i „wolny handel”, o tyle Wielka Brytania uważała, że rząd ma prawo podejmować akcje zapobiegające bezrobociu, a więc kładła nacisk na interwencjonizm rządowy.

Różnice w koncepcyjnym podejściu do przyszłego kształtu „struktury” nie kończyły się zresztą na tym. Wielka Brytania bo-

<sup>13</sup> Cyt. za: K. Kock, *International Trade Policy and the GATT 1947-1967*, Stockholm 1969, s. 7.

<sup>14</sup> Por. G. Haberler, *Some Factors Affecting the Future of International Trade and International Policy*, w: *Economic Reconstruction*, pod red. S. E. Harrisa, New York 1945, s. 323-324.

wiem już w okresie przedwojennym zerwała ze swą tradycyjną polityką wolnego handlu i nie miała zamiaru do niej powracać. Niemniej jeszcze w czasie trwania II wojny światowej, zmuszona okolicznościami, podpisała Kartę Atlantycką<sup>15</sup>, a następnie Artykuł VII tej Karty, tzw. Mutual Aid Agreement<sup>16</sup>.

Co prawda Wielka Brytania żadnych konkretnych zobowiązań w związku z tym nie podjęła, ale ustąpiła naciskom USA i ogólnie zgodziła się przestrzegać w „nowym ładzie handlowym” po wojnie pewnych zasad zgodnych z koncepcjami amerykańskimi.

Pierwszym konkretnym krokiem w tej dziedzinie i to akceptowanym przez Wielką Brytanię było utworzenie w dniu 22 lipca 1944 r. Międzynarodowego Funduszu Walutowego, lub inaczej „systemu z Bretton Woods”.

W dziedzinie stosunków walutowych rozbieżności między Wielką Brytanią (tzw. plan Keynesa) i USA (tzw. plan White'a) były mniejsze niż w sprawach handlowych. Oba kraje były bliskie koncepcji „standardu waluty złotej”, choć Wielka Brytania opowiadała się za większą elastycznością nowego systemu monetarnego, podczas gdy USA były zwolennikiem jego sztywności. W końcu jednak osiągnięto kompromis. Kosztem Wielkiej Brytanii zresztą.

Nowy system monetarny, aczkolwiek formalnie nie będący porozumieniem w dziedzinie zasad w handlu międzynarodowym, wyznaczając jasno orientował się w kierunku „wolnego handlu”, na którym tak zależało USA.

Tak więc pierwsza, tj. monetarna, część nowej „struktury” została stworzona przez „centrum”, a ściślej mówiąc przez USA. Kolej teraz przyszła na jej drugą część, tj. handlową.

<sup>15</sup> Kartę podpisano w wyniku spotkania między F. D. Rooseveltem a W. Churchilllem w sierpniu 1941 r. Zawierała ona osiem punktów, z których czwarty i piąty odnosiły się do zasad handlu międzynarodowego. Punkt czwarty mówił o wspólnym dążeniu USA i Wielkiej Brytanii do wdrażania zasady równego dla wszystkich dostępu do handlu światowego i surowców, piąty zaś, że oba kraje będą się starały zorganizować „najpełniejszą współpracę” w dziedzinie gospodarki między wszystkimi narodami.

<sup>16</sup> Artykuł ten, podpisany w ramach porozumienia między USA a Wielką Brytanią 23 lutego 1942 r., sprowadzał się do kontrkoncesji angielskich w zamian za pomoc amerykańską w ramach *lend-lease*. Chodziło tu o przyciągnięcie Wielkiej Brytanii do amerykańskich koncepcji „wolnego handlu”. Co prawda każdy z tych krajów różnie potem interpretował ten Artykuł, ale w USA wierzono, że został w nim nakreślony powojenny „kodeks postępowania” w handlu światowym.

Tutaj sprawa była znacznie trudniejsza. Problemy monetarne, jak już wspomniano, nie wywoływały głębszych różnic koncepcyjnych między USA a Wielką Brytanią. Co innego jednak handlowe.

W tej dziedzinie USA, jak również wspomniano, forsowały swoją koncepcję „wolnego handlu”, której główny sens polegać miał na *fair policy*. Konkretny dokument w sprawach „nowego ładu handlowego” przedłożyły jednak dopiero 6 grudnia 1945 r. i to po długich sporach z Wielką Brytanią. Dokument nazwano „Propozycjami”<sup>17</sup>. Towarzyszyło mu wspólne oświadczenie USA i Wielkiej Brytanii, w którym ta ostatnia akceptowała wszystkie jego ważniejsze punkty.

Tak więc można powiedzieć, że dokument ten był amerykański w formie i treści (podobnie zresztą jak odpowiednie dokumenty dotyczące spraw monetarnych). Nie wchodząc w szczegóły, warto jednak zaznaczyć, że Wielka Brytania przyjęła „Propozycje” właściwie tylko jako „bazę” do dalszej międzynarodowej dyskusji.

Najważniejszą częścią „Propozycji” była podstawowa zasada, w myśl której członkowie proponowanej międzynarodowej organizacji handlowej będą w stosunkach między sobą bezwarunkowo stosowali klauzulę największego uprzywilejowania, a w ramach przyszłych negocjacji dążyć będą do eliminacji preferencyjnych stawek celnych. Zakładano także eliminację ograniczeń ilościowych w imporcie, choć przewidywano, że trudności w bilansie płatniczym mogą usprawiedliwiać przejściowe ich istnienie. Warto dodać, że liberalizacja importu miała na razie nie dotyczyć artykułów rolnych. Nie umiano natomiast ustalić nic konkretnego w sprawie związku między handlem międzynarodowym a zatrudnieniem, mimo iż taki cel sobie stawiano.

W ogóle zresztą nie wiadomo, czy „Propozycje” ujrzałyby światło dzienne, gdyby znów nie zbieg okoliczności. Opozycja Wielkiej Brytanii wobec niektórych idei „Propozycji” została bowiem „zmięczona” ubieganiem się jej o wielką pożyczkę w USA (stała się o uzyskanie 6 miliardów dolarów, uzyskała zaś 3,75 miliarda dolarów i na znacznie gorszych warunkach, niż chciała).

W takiej sytuacji przystąpiono do organizowania światowej

<sup>17</sup> *Proposals for Consideration by an International Conference on Trade and Employment as Transmitted by the Secretary of State of the United States of America to His Majesty's Ambassador in Washington.*

konferencji handlowej, której „bazą” były właśnie omawiane „Propozycje” amerykańskie mające formalne poparcie Wielkiej Brytanii.

„Centrum” było wówczas co najmniej nieliczne, gdyż stanowiły je tylko dwa kraje, tj. USA i Wielka Brytania. W okresie dyskusji wstępnych brak było takich trzech tradycyjnych już mocarstw handlowych jak Niemcy, Francja i Japonia, nie mówiąc już o innych, mniejszych krajach, które w okresie międzywojennym zdążyły już do „centrum” awansować.

Omawianą konferencję zwołano wreszcie wiosną 1948 r. w Hawanie. Było już wtedy jasne, że sytuacja w świecie zmieniła się — powstał system socjalistyczny, w szybkim tempie „pękał w szwach” system kolonialny. Zaczęły się też pojawiać pierwsze oznaki „zimnej wojny”.

Niezależnie jednak od tego dla losów konferencji najbardziej brzemienne w skutkach było bodajże inne wydarzenie. Mianowicie USA, działając w myśl uzyskanych od Kongresu w 1945 r. na okres 3 lat pełnomocnictw dla prezydenta do prowadzenia negocjacji handlowo-taryfowych — podjęły takie negocjacje, nie czekając na rozpoczęcie konferencji. Podstawą tych negocjacji były zasady zawarte w „Propozycjach”. Zaproszono do nich szereg krajów, w tym także ZSRR, który jednak z zaproszenia nie skorzystał. Jednocześnie USA przedłożyły te „Propozycje” w ECOSOC, sugerując wykorzystanie forum ONZ dla organizowania omawianej konferencji handlowej. Ofensywa USA poszła więc w dwóch kierunkach.

Prace prowadzone w ramach ONZ zakończyły się w końcu przyjęciem tzw. Proponowanej Karty (Suggested Charter) przyszłej organizacji handlowej (ZSRR udziału w pracach przygotowawczych nie wziął). Ów projekt Karty był w rzeczywistości niczym innym jak skonkretyzowaniem sugestii USA zawartych we wcześniej przez nich opracowanych „Propozycjach” (gwoździ ścisłości, o czym zresztą wspominaliśmy wyżej, formalnie przedłożonych w ECOSOC).

Mimo akceptacji projektu Karty przez tzw. Komitet Przygotowawczy ONZ, niektóre kraje, jak np. Wielka Brytania, Francja i Australia, miały szereg zastrzeżeń co do formalnego uznania projektu za ostateczny.



To był jeden z kierunków natarcia USA.

Drugi kierunek — to wspomniane wyżej negocjacje handlowo-taryfowe. USA rozpoczęły je z zaproszonymi krajami w kwietniu 1947 r. w Genewie i w dniu 30 października tego samego roku zakończyły je podpisaniem z 23 krajami tzw. Układu Ogólnego w Sprawie Ceł i Handlu (GATT). Wiele krajów ratyfikowało Układ Ogólny jeszcze przed konferencją handlową w Hawanie, która znalazła się w ten sposób w „delikatnej” sytuacji.

Winę za to ponosiły niewątpliwie USA. Ale miały w tym zapewne swój głębszy cel. Podczas gdy początkowo wyobrażały sobie, że stworzenie jakiejś uniwersalnej organizacji handlowej obejmującej wszystkie kraje jest możliwe, to z czasem bodajże zrozumiały iluzoryczność takiego przedsięwzięcia. Pomijając już rosnące napięcie na linii Wschód—Zachód<sup>18</sup>, również sytuacja w krajach rozwijających się z góry wykluczała zaakceptowanie wielu koncepcji USA. W dodatku sytuacja w samym „centrum” też nie była jasna, a jego skład zaczął przechodzić pewne mutacje.

Stąd też USA częściowo osiągnęły swój cel przez utworzenie GATT i raczej nie były już potem serio zainteresowane w utworzeniu światowej organizacji handlowej. Uchwalona Karta Hawańska nie wywoływała już ich entuzjazmu. Podobnie miała się rzecz z pozostałymi krajami „centrum”. Ostatecznie, handlowa część „struktury”, która z grubsza odpowiadała jego interesom i „filozofii”, znalazła swe odbicie w Układzie Ogólnym. Nic więc dziwnego, że wszystkie kraje-sygnatariusze Karty Hawańskiej uzależniły jej ratyfikację od ratyfikacji przez USA (jedynie Liban ją ratyfikował, nie czekając na to).

W USA, jak już wspomniano, sprawa handlu była jednak znacznie bardziej drażliwa niż sprawy monetarne, a ponadto od Bretton Woods upłynęło już trochę czasu i sytuacja na świecie uległa poważnym zmianom. W pojęciu USA Karta Hawańska była zresztą w ogóle za mało „wolnohandlowa”. Proces jej ratyfikacji w Kongresie ciągnął się 2 lata i wreszcie rząd tego kraju zaniechał starań o jej przyjęcie. Na początku 1951 r. ratyfi-

<sup>18</sup> W czasie VII Sesji ECOSOC, na której sekretarz generalny ONZ złożył raport na temat wyników Konferencji Hawańskiej, ZSRR i Polska oświadczyły, że nie przystąpią do takiej organizacji handlowej.

kacja „nie przeszła” także w Wielkiej Brytanii, a potem już nigdzie indziej.

Tak więc druga, tj. handlowa część „struktury”, przybrała formę tylko Układu Ogólnego w Sprawie Ceł i Handlu. „Centrum” nie udało się zatem stworzyć tej części „struktury” w taki sposób, jak zamierzało. To zaś, co stworzono, tj. IMF i GATT — nosiło wyraźne piętno amerykańskie. Oficjalna więc „struktura” odbudowującego się „centrum” była wysoce jednostronna w swych założeniach. Jednakże „centrum” uznało taką „strukturę” za „swoją” i w następnych latach rozpoczęło batalię o odzyskanie utraconych i wzmocnienie istniejących własnych wpływów w świecie.

Nie zdawano sobie jeszcze wtedy sprawy z tego, do czego mogą doprowadzić wąsko pojęte interesy „centrum”, a właściwie USA, które znalazły swe odbicie w omawianej „strukturze”.

Pomijając już fakt, że w działalności „struktury” nie uczestniczyły (jak np. w IMF) bądź uczestniczyły tylko niektóre i na warunkach specjalnych (jak np. w GATT) kraje socjalistyczne, również wiele krajów rozwijających się nie zostało nią całkowicie objętych (do dziś ponad 20 z nich nie należy do GATT).

Ale nie chodzi tu nawet o formalne uczestniczenie czy nieuczestniczenie w działalności „struktury”, która miała ambicje stania się ogólnoswiatową, choć kierowaną z „centrum”. Ważniejsze jest, że formalnie „struktura” nie przewiduje istnienia gospodarki planowej.

W gruncie rzeczy nie umie też rozwiązać specyficznych problemów krajów rozwijających się. Układ Ogólny co prawda został uzupełniony kilka lat temu o tzw. Część IV, która miała w założeniu te problemy uwzględnić (chodzi o wyłączenie krajów rozwijających się z tzw. zasady wzajemności), ale to absolutnie nie wystarcza.

Jeszcze gorzej jest z częścią monetarną „struktury”, w odniesieniu do której kraje rozwijające się nic nigdy nie miały do powiedzenia, a teraz, po załamaniu się systemu z Bretton Woods, zamieszanie jest już totalne.

Tak więc stworzona przez „centrum”, a raczej przez USA, „struktura” nie tylko nigdy nie była uniwersalna w sensie geograficznym, ale także w sensie samych zasad. Co gorzej, „struk-

tura" ta praktycznie się załamała. Jej część monetarna przestała istnieć i statut IMF stał się już tylko jakimś zabytkiem nie mającym faktycznie żadnego znaczenia, natomiast jej część handlowa jest bliska załamania się. Losy jej zależą od powodzenia tzw. rundy tokijskiej, która mimo iż formalnie rozpoczęła się we wrześniu 1973 r., właściwie nie może ruszyć z miejsca<sup>19</sup>.

Gwoli ścisłości, „struktura” działała jako tako mniej więcej przez pierwsze 15 lat. Potem zaczęła się wyraźnie załamywać, a „konwulsje” jej trwają do dziś. Wygląda to na paradoks, ale główne „nieszczenia” zaczęły na nią spadać nie ze strony „hinterlandu” czy krajów socjalistycznych, których interesom nigdy nie miała służyć, ale ze strony samego „centrum”. Nie wchodząc w szczegóły, bo o nich będzie jeszcze mowa, warto tylko zwrócić uwagę na to, jak uproszczoną wizję mieli autorzy „struktury”...

Trudno tutaj znaleźć głównego „winowajcę” w sensie poszczególnych części „struktury”. Która była słabsza — monetarna czy handlowa? Gdzie się najpierw pokazały pęknięcia — w handlowej czy monetarnej?

Można na ten temat wieść spory, ale to już nie ma większego znaczenia. Faktem jest, że „struktura” nie tylko jest w agonii, ale spowodowała nie spotykane dotąd zamieszanie w handlu światowym, w rozliczeniach międzynarodowych i w samym rozwoju świata, a „centrum” w szczególności.

Bezkoncepcyjność „centrum” w rozwiązywaniu piętrzących się przed nim trudności pojawiła się w momencie, kiedy wydawało mu się, że stworzona przez niego „struktura” jest niemal triumfem geniuszu ludzkiego.

Na pewno „struktura” przyniosła jej autorom, tzn. konkretnie USA, korzyści (które jutro mogą być zresztą przyczyną klęski już nie samych autorów, ale „centrum” jako całości). To prawda.

W części monetarnej „struktury”, po załamaniu się systemu z Bretton Woods i przejściu walut „na pływanię” — dolar ma już teraz *de facto* „pełne królestwo” w niesocjalistycznym świecie. Kiedyś musiał je dzielić ze złotem. W części handlowej natomiast zasady „wolnego handlu” i „wolnego przedsiębiorstwa” zostały wykorzystane przede wszystkim przez tzw. korpo-

<sup>19</sup> Takie przynajmniej wrażenie odnosiło się do końca 1976 r.

racje globalne, głównie amerykańskie, które stały się nowym zjawiskiem we współczesnym świecie.

Ale sprawa nie jest aż tak prosta.

Dominacji USA w „centrum” zaczęli zagrażać inni, głównie Europa Zachodnia, z RFN na czele, a także Japonia. Wydawało się już nawet, że pozycja USA została osłabiona. Tymczasem kryzys walutowy, uważany za kryzys dolara, obrócił się niespodziewanie na korzyść dolara i osłabił inne kraje „centrum”. Deficyt handlowy USA, a przedtem jeszcze długotrwały deficyt płatniczy — zaczynają się zmieniać w nadwyżki, natomiast tradycyjnie „nadwyżkowe” kraje „centrum” mają perspektywę stania się „deficytowymi”. Rozgrywka w „centrum” nie jest więc bynajmniej skończona. Wszystko to dzieje się jednak w czasie, kiedy stara „struktura” już właściwie nie istnieje, kształt zaś nowej jest dalece niejasny.

Tymczasem „centrum” wraz ze swą „strukturą” doprowadziło sytuację w świecie niesocjalistycznym do punktu „eksplozyjnego”...

Początek lat siedemdziesiątych poszedł jeszcze „starym rozpędem”. Wstrząs wywołany decyzją R. Nixona z 15 sierpnia 1971 r. o zawieszeniu wymienialności dolara i faktycznej jego dewaluacji *via* „płynny kurs” przyspieszył tylko proces nasilania się inflacji w świecie niesocjalistycznym, do którego to zresztą procesu przyczyniły się walnie USA poprzez stworzoną przez siebie monetarną część „struktury”. Jeszcze jednak wydawało się, że koniunktura w „centrum”, która poszła owym „starym rozpędem”, jakoś wyprowadzi wszystko na proste drogi.

Ale stało się inaczej. Krótkotrwały „boom surowcowy” w połączeniu z inflacją przyczynił się walnie do wybuchu nie oczekiwanego w tej skali kryzysu naftowego.

Potem już wszystko zaczęło się walić w posadach. Nie spotykana od lat trzydziestych recesja gospodarcza nawiedziła „centrum”. Budowa nowej „struktury” w takich warunkach zaczyna już przerastać siły i koncepcje „centrum”...

Zresztą nawet statystycznie rzecz biorąc, pozycja „centrum” w gospodarce światowej i handlu międzynarodowym uległa w latach siedemdziesiątych osłabieniu. Jego udział w handlu światowym spadł do 66% w 1974 r. wobec 70% w 1970 r. Wprawdzie



na dziesięć krajów „centrum” przypadała w 1974 r. ciągle więcej niż połowa handlu światowego (56%), a na „wielką piątkę” (USA, RFN, Japonia, Francja i Wielka Brytania) prawie 40%, to jednak niektóre kraje rozwijające się „wdarły” się do ścisłej czołówki światowych eksporterów (Arabia Saudyjska zajęła szóste, a Iran jedenaste miejsce. Inne kraje OPEC też zbliżyły się poważnie do czołówki).

Sytuacja ta uległa pewnej zmianie w 1975 r. i jeszcze może zmieniać się w różnych kierunkach, ale jedno jest pewne, to mianowicie, że do dawnych „dobrych czasów”, kiedy „centrum” mogło dyktować zasady „struktury”, jak chciało — nie ma już powrotu.

Co więcej, „centrum” nie ma już monopolu na koncepcje „struktury”. Pomijając już kraje socjalistyczne, które nigdy nie poddawały się „strukturze” narzuconej światu przez „centrum” — również „hinterland” nie podda się „strukturze”, która byłaby wyłącznego autorstwa „centrum”. Ponadto „centrum” znalazło konkurenta w osobie „hinterlandu”, który ma własne koncepcje „struktury” w postaci „nowego międzynarodowego ładu ekonomicznego”.

O ile powojenna „struktura” obecnego „centrum” rodziła się niemal w tajemnicy przed całym światem, a autorem koncepcji był praktycznie tylko jeden kraj — USA, o tyle lansowany przez „hinterland” wspomniany „nowy ład”, czyli w gruncie rzeczy „nowa struktura” — rodzi się na oczach całego świata i to w ostrej walce.

O sprawach tych będzie mowa w końcowym wykładzie, ale teraz warto na zakończenie niniejszego dodać, że po raz pierwszy w okresie powojennym handel światowy znalazł się w sytuacji kryzysowej. W sytuacji kryzysowej znalazło się także „centrum” i jego „struktura”.

Dlatego trudno powiedzieć, jak handel światowy będzie się kształtował jutro...

## Wykład trzeci

### „Naturalne bariery” rozwoju — mit czy rzeczywistość?

W poprzednich wykładach mówiliśmy o nierównomierności rozwoju gospodarczego świata i o wpływie tej nierównomierności na międzynarodowe stosunki gospodarcze. Obecnie zatrzymajmy się nad „naturalnymi barierami” rozwoju gospodarki światowej, które również nie mogą pozostawać bez wpływu na kształtowanie się stosunków międzynarodowych w ogóle, a gospodarczych w szczególności.

Czy takie bariery w ogóle istnieją, czy też są mitem? A ponadto — jak mogą one oddziaływać na omawiane stosunki?

Problemom tym poświęcimy trzy wykłady. W pierwszym poruszmy problemy demograficzne (i zatrudnienia), wyżywienia i ochrony środowiska naturalnego. W drugim skoncentrujemy się na sprawach dotyczących energetyki, w trzecim zaś na sprawach surowców. Przejdźmy więc do zagadnień stanowiących przedmiot pierwszego wykładu.

Nie ulega wątpliwości, że bodaj najbardziej złożonym problemem współczesnego świata jest problem demograficzny. Zastanówmy się chwilę nad nim i postarajmy się odpowiedzieć na pytanie — czy można go uznać za jakąś „naturalną” barierę rozwoju?

Problem jako taki należy do względnie „młodych”. Po raz pierwszy i to w dramatyczny sposób podniósł go Thomas Malthus w 1798 r., publikując swą słynną pracę *Principle of Population*, w której zawyrokował, że przyrost liczby ludności ograniczony jest podażą żywności. Uważał on, że ludzkość przyrasta w postępie geometrycznym, natomiast żywność — tylko w arytmetycznym.

Nad Malthusem odbyło już szereg „sądów” i nie warto obecnie

do tych spraw raz jeszcze powracać. Można jedynie dodać, że nie przewidział on dwóch rzeczy: nawozów sztucznych i mechanicznej uprawy ziemi. Oczywiście nie przewidział jeszcze wielu innych rzeczy, takich jak rozwinięta wymiana międzynarodowa, rewolucja w transporcie itp. W każdym razie, jego przepowiednie na pewno nie sprawdziły się w krajach wysoko rozwiniętych. Ale czy to samo można powiedzieć o krajach słabiej rozwiniętych?

W krajach rozwiniętych, przynajmniej na razie, problem wyżywienia praktycznie nie istnieje. Przeciętna rodzina w USA wydaje tylko około 13% swych przychodów na żywność i to przy diecie dość „ekstrawaganckiej” (na 3300 spożywanych przez Amerykanina kalorii dziennie około 600 uważa się za zmarnowane z powodu odpadów, „zostawiania na talerzu” i innego marnotrawstwa)<sup>1</sup>.

Powracając jednak do rozpoczętego wątku — wspomnieliśmy, że problem demograficzny jest stosunkowo „młody”. Tak naprawdę pojawił się on wraz z wkroczeniem świata w „erę przemysłową”. Mniej więcej bowiem od 200 lat tempo przyrostu naturalnego w świecie nieustannie się nasila i obecnie przekracza już 2% rocznie.

Gdyby obecne tempo utrzymało się w przyszłości, to liczba mieszkańców naszego globu podwajałaby się co 35 lat. Żeby lepiej zrozumieć, jakie miałyby to konsekwencje, warto uświadomić sobie, że w ciągu najbliższych 350 lat byłoby nas aż 1000 razy więcej niż obecnie, a w ciągu 700 lat już 1 000 000 razy więcej. Za 1200 lat ludność naszego globu byłaby cięższa od samego globu, a za 6000 lat przyrost „masy ludzkiej” na sekundę byłby szybszy od prędkości światła<sup>2</sup>! Mówiąc bardziej obrazowo — z przychodzących na świat w ciągu sekundy noworodków można by ułożyć „słup” sięgający od Ziemi do Księżyca...

Nie trzeba więc wiele wyobraźni, żeby uprzytomnić sobie, iż obecne tempo przyrostu naturalnego nie może być kontynuowane bez końca i że jest ono zjawiskiem przejściowym.

<sup>1</sup> Por. R. Revelle, *Food and Population*, „Scientific American”, wrzesień 1974.

<sup>2</sup> Por. A. J. Coale, *The History of the Human Population*, „Scientific American” wrzesień 1974.

Antropologowie i historycy uważają, że zanim człowiek zaczął uprawiać ziemię, czyli zanim stał się rozumną istotą wyższego rzędu, glob nasz zamieszkiwało w przybliżeniu 5—10 milionów ludzi<sup>3</sup>. Z myślistwa i zbieractwa więcej nie mogłoby wówczas wyżyć.

Przyjmuje się, że wymienioną liczbę ludzkość osiągnęła mniej więcej 8 tysięcy lat przed naszą erą, natomiast pierwsza istota ludzka pojawiła się na Ziemi gdzieś około miliona lat temu. Jeśli uznamy to za wiarygodne (dokładnych danych przecież nie ma), to można powiedzieć, że przez pierwsze 990 tysięcy lat przyrost gatunku ludzkiego był niezwykle powolny. Nawet gdyby założyć, że człowiek pochodzi od Adama i Ewy, to tempo przyrostu naturalnego w ciągu pierwszych 99% czasu jego istnienia wynosiło nie więcej niż 0,000015% rocznie.

Pierwsza „eksplozja demograficzna” nastąpiła dopiero w chwili, kiedy człowiek zajął się uprawą ziemi i hodowlą. Przyjmując, że 8 tysięcy lat p.n.e. było 8 milionów ludzi, dochodzi się do wniosku, że anno Domini 1 musiało ich być już około 300 milionów (szacunki wahają się w granicach od 200 do 400 milionów). W omawianym okresie tempo przyrostu naturalnego już się bowiem poważnie nasiliło i wzrosło z 15 do 360 osób na milion rocznie, czyli 24-krotnie.

Od pierwszego roku naszej ery do roku 1750 liczba ludności wzrosła w przybliżeniu o 500 milionów i osiągnęła 800 milionów. Roczne tempo przyrostu zwiększyło się wówczas do 500 osób na milion, ale jeszcze nie było wysokie.

Prawdziwa „eksplozja demograficzna” datuje się dopiero mniej więcej od 1750 r., co dostrzegł T. Malthus. Tak np. w latach 1750—1800, czyli w okresie zaledwie 50-letnim, ludność świata wzrosła o dalsze 200 milionów i osiągnęła 1 miliard. Roczne tempo przyrostu naturalnego w stosunku do poprzedzających 1750 lat wzrosło osmiokrotnie i wynosiło już 0,44%. W tym właśnie czasie rozpoczynała się „era przemysłowa”.

W 1850 r. liczbę mieszkańców naszego globu szacowano już na 1,3 miliarda, a w 1900 r. na 1,7 miliarda<sup>4</sup>. Średnioroczne tempo w odpowiednich okresach 50-letnich wzrosło do 0,52% i 0,54%.

<sup>3</sup> Por. tamże.

<sup>4</sup> Por. tamże.



W 1950 r. liczba ludności na kuli ziemskiej osiągnęła już 2,5 miliarda, a średnioroczne tempo przyrostu naturalnego w okresie pierwszego półwiecza XX stulecia podniosło się do 0,79‰ mimo dwóch wojen światowych. W latach 1950—1974 przybyło dalsze 1,4 miliarda ludzi, a tempo przyrostu naturalnego wzrosło już do 1,71‰ średnio w roku. W roku 2000 liczba mieszkańców naszego globu ma osiągnąć 6,4—6,5 miliarda, a średnioroczne tempo przyrostu — 1,9—2,0‰.

Tak więc, dotychczasowa historia ludzkości dzieli się jakby na dwa okresy:

— jeden, bardzo długi, o wolnym tempie przyrostu naturalnego;

— drugi, bardzo krótki, o szybkim tempie.

Znów licząc od Adama i Ewy, można by wysnuć wniosek, że na przestrzeni swej całej historii ludzkość podwajała się tylko około 31 razy, czyli przeciętnie co mniej więcej 30 tysięcy lat, a średnioroczne tempo przyrostu naturalnego w ciągu ostatniego miliona lat wynosiło zaledwie 0,02‰.

Teraz zaś mamy 2‰ rocznie, a podwojenie następuje co 35 lat... Nie ulega więc wątpliwości, że obserwowany obecnie przyrost naturalny jest jakąś anomalią dziejową i że kiedyś musi się obniżyć.

„Eksplzja demograficzna”, a zjawisko to nie zasługuje już właściwie na cudzysłów, wynika nie tyle ze wzrostu liczby urodzeń przypadających na jedną kobietę, ale ze spadku śmiertelności i tym samym ze zwiększenia się przeciętnej długości życia człowieka. Spadek śmiertelności zaś jest konsekwencją rewolucji naukowo-technicznej, która umożliwiła podniesienie ogólnego stanu zdrowotności i nawet poziomu wyżywienia (zwłaszcza w niektórych regionach). Wykorzystując nowoczesne metody, człowiek jest dziś w stanie wyprodukować z tego samego obszaru uprawnego ponad 5 razy więcej żywności niż dawniej. Odsunęło to wydatnie wizję głodu, ale jej całkowicie nie zlikwidowało.

Tak więc problem demograficzny niewątpliwie istnieje, ale kiedy można się spodziewać osłabienia jego ostrości?

Tego nikt nie umie dokładnie powiedzieć. Sprawa bowiem wygląda tak, że nawet jeśli liczba urodzeń będzie spadać, to jednocześnie należy się spodziewać dalszego wydłużania się przecięt-

nego życia człowieka. „Rezerwy” w tej dziedzinie, głównie w krajach rozwijających się, są jeszcze ogromne.

Na jakim poziomie ustabilizuje się więc liczba mieszkańców naszego globu?

I znowu nikt nie może powiedzieć niczego konkretnego na ten temat. A nie trzeba wyjaśniać, jak istotna jest to sprawa. Niektórzy<sup>5</sup> uważają na przykład, że w krajach rozwiniętych, do których zaliczają i kraje RWPG, sytuacja zacznie się wyjaśniać w latach osiemdziesiątych, kiedy liczba dzieci przypadających na kobietę w wieku rozrodczym osiągać będzie 2,1 (wobec 2,2 obecnie), co równałoby się prawie reprodukcji prostej. Ale nawet wtedy liczba ludności w tych krajach wzrosłaby o dalsze 300 milionów przed ostatecznym ustabilizowaniem się, przy czym 2/3 tego przyrostu przypadłoby na XX w. Stabilizacja zaś zaczęłaby się dopiero gdzieś około 2040 r.

Główny problem dotyczy jednak krajów rozwijających się. Obecna stopa przyrostu naturalnego wynosi tam bowiem 2,4‰ rocznie wobec 1,2‰ w krajach rozwiniętych<sup>6</sup>.

Warto przy tej okazji zaznaczyć, że stopę przyrostu naturalnego w obecnych krajach rozwijających się w latach 1750—1850 szacuje się na 0,4‰, a w obecnych krajach rozwiniętych na 0,5‰ rocznie. W następnym stuleciu, tj. w latach 1850—1950, powiększyła się ona w obu grupach krajów, ale w korzystniejszym stopniu w krajach rozwiniętych. Odpowiednie wskaźniki wyniosły bowiem 0,6 i 0,9‰. Dopiero w ostatnim 25-leciu trend radykalnie się odwrócił (choć zrównanie tempa nastąpiło znacznie wcześniej).

W 1750 r. na obecne kraje rozwinięte przypadało około 25‰ mieszkańców globu, a pozostałe 75‰ na obecne kraje rozwijające się. W 1850 r. już odpowiednio — 27 i 73‰, w 1950 r. — 34 i 66‰, a w 1975 r. — znowu 27‰ i 73‰.

W chwili obecnej przyrost naturalny w krajach rozwijających się jest w cyfrach absolutnych ponad 5-krotnie większy niż w krajach rozwiniętych i wynosi ponad 60 milionów osób rocznie. Przeciętny wiek człowieka w krajach rozwiniętych dochodzi już do 71 lat, podczas gdy w krajach rozwijających się wynosi

<sup>5</sup> Por. np. C. F. Westoff, *The Populations of the Developed Countries*, „Scientific American”, wrzesień 1974.

<sup>6</sup> Por. tamże.

tylko 53 lata<sup>7</sup>, a więc wspomniane wyżej „rezerwy” przyrostu naturalnego są jeszcze wielkie. Stąd uważa się na ogół, że przynajmniej do końca bieżącego stulecia tempo przyrostu naturalnego w krajach rozwijających się utrzyma się na poziomie zbliżonym do obecnego<sup>8</sup>.

Ostatecznie więc nikt dokładnie nie wie, na jakim poziomie ustabilizuje się liczba mieszkańców naszego globu i kiedy. Wymienia się jednak pewne liczby i daty. Niestety, szacunki wahają się tu w granicach od 9 do 16 miliardów osób około połowy przyszłego wieku, kiedy ludzkość może, jak się sądzi, wejść w „fazę stabilizacji”. Jasne jest, że w takiej sytuacji „ustabilizowany poziom” można sobie wybierać raczej dowolnie w owych granicach 9—16 miliardów ludzi...

Niektórzy<sup>9</sup> przyjmują więc liczbę 14 miliardów ludzi, których glob ziemski będzie musiał pomieścić za najbliższe 70—75 lat, ale są i tacy, którzy przyjmują najwyższy wariant, tj. 16 miliardów. Optymiści twierdzą, że glob ziemski może wyżywić 50—60 miliardów osób, pesymiści zaś — że ludzi już jest o połowę za dużo...

Załóżmy jednak, że liczba ludności świata ustabilizuje się na poziomie 14 miliardów. Według prognoz, 1,5 miliarda z tego, czyli tylko około 10%, przypadłoby na obecne kraje rozwinięte (w tym i RWPG), a pozostałe 90% na obecne kraje rozwijające się.

Nikt oczywiście nie może przewidzieć, ile krajów obecnie uważanych za rozwijające się awansuje w tym czasie do grona krajów rozwiniętych. O wariantach prognoz w tej materii mówiliśmy już w pierwszym wykładzie. W każdym razie jest rzeczą pewną, że gdyby obecne kraje tej grupy nie były w stanie wyrwać się z zacofania, to większość z nich nie osiągnie liczby ludności, jaką można by dla nich zakładać na podstawie prostych ekstrapolacji. Po prostu nie wyżywią one swojej ludności bez rewolucji w rolnictwie, ta zaś jest możliwa tylko przy ogólnym awansie kraju.

Tak więc problem demograficzny we współczesnym świecie,

<sup>7</sup> Por. P. Demeny, *The Populations of the Underdeveloped Countries*, „Scientific American”, wrzesień 1974.

<sup>8</sup> Por. tamże.

<sup>9</sup> Por. np. R. Dumont, *Population and Cannibals*, „Development Forum”, lipiec 1974.

a konkretnie w większości krajów rozwijających się istnieje na pewno i zaczyna się stawać wręcz krytycznym problemem rozwojowym.

Wróćmy raz jeszcze do pewnych liczb. Cóż one mówią?

Załóżmy, że w połowie XXI w. w obecnych krajach rozwijających się żyć będzie około 12,5 miliarda ludzi, z czego 1/3, podobnie jak obecnie, będzie niedożywiona. Liczba chronicznie głodujących byłaby wówczas większa niż liczba mieszkańców naszego globu obecnie. „Powielanie” obecnej sytuacji w najbliższej przyszłości jest zatem co najmniej niedopuszczalne, a przecież może być jeszcze gorzej... Tak dalej być więc nie może. Ale co zrobić, żeby tak dalej nie było?

Odbyta w 1974 r. w Bukareszcie Światowa Konferencja Ludnościowa do niczego nie doprowadziła. Bo zresztą nawet nie mogła. Wiele krajów uważa, że jeśli już ktoś ma ograniczać przyrost naturalny, to raczej nie one. Chiny co prawda przyrost ten ograniczają, ale twierdzą, że przeciętna gęstość ich zaludnienia jest ciągle jeszcze pięciokrotnie niższa niż w Holandii czy Belgii. Gabon, który posiada terytorium równe połowie Francji, ma od niej 50 razy mniej mieszkańców proporcjonalnie od swej powierzchni. Brazylia chce być supermocarstwem i do tego „potrzebuje” co najmniej 100—150 milionów „dodatkowych” obywateli itd. itp.

Inna rzecz, że mechaniczne ograniczanie przyrostu naturalnego, pomijając już całą złożoność tego procesu, niewiele już zmieni. Ludzie, którzy dożyją połowy przyszłego wieku, właściwie już się urodzili albo rodzą w chwili pisania niniejszego. I nawet jeśli przyszłe matki będą rodziły tylko po dwoje dzieci, a jednocześnie śmiertelność będzie nadal spadała, to i tak świat nie uchroni się przed nowymi miliardami ludzi...

Oczywiście, wszelkie prognozy zakładają pokojowy rozwój świata, co nie może zresztą być podważane, bo niepokojowy rozwój mógłby przekreślić wszelkie prognozy z prognostykami włącznie... Skoro więc przed nowymi miliardami ludzi nie uciekniemy<sup>10</sup>, to zastanówmy się, jakie mogą być tego konsekwencje dla rozwoju świata i stosunków międzynarodowych, zwłaszcza gospodarczych.

<sup>10</sup> W końcu marca 1976 r. świat zamieszkiwały już 4 miliardy ludzi. Za 13 lat będzie ich już 5 miliardów.



Jedna sprawa nie ulega wątpliwości — problemy wyżywienia i zatrudnienia będą się zaostrzać. O wyżywieniu będzie mowa oddzielnie, zatrzymajmy się więc chwilę nad problemem zatrudnienia, który jest dosłownie plagą systemu niesocjalistycznego. Plaga ta występuje zarówno w krajach rozwijających się, jak i w rozwiniętych krajach kapitalistycznych już teraz, a co będzie w przyszłości?

Problem bezrobocia w świecie niesocjalistycznym komplikuje więc poważnie strategię rozwojową, a zwłaszcza międzynarodowe stosunki gospodarcze. Wzrasta bowiem swoista „czujność” wobec „eksportu bezrobocia” w ogóle, a „taniej siły roboczej” w szczególności. Kraje, w których koszty robocizny są wysokie, uważają, że mają prawo bronić się przed importem artykułów z krajów, w których koszty te są niskie. Do tej pory nikt jeszcze nie znalazł wyjścia z tej sytuacji, a przecież wszystko wskazuje na to, że problem będzie się nadal zaostrzał. Zresztą w ogóle główną troską rządu każdego kraju niesocjalistycznego, w obawie zresztą przed socjalizmem, zaczyna być zatrudnienie (w niektórych krajach jest już nią od lat trzydziestych).

Jednakże wszystko to, co było dotąd — miało skalę wręcz śmieszną w porównaniu z tym, co może być...

Przytoczmy kilka przykładów.

Meksyk miał pod koniec II wojny światowej niecałe 20 milionów mieszkańców, dzisiaj zaś ma już 60 milionów. Prognozy na rok 2000 podają liczbę w granicach 100—125 milionów<sup>11</sup>. Mimo szybkiego rozwoju kraju, liczba bezrobotnych nieustannie rośnie. W chwili obecnej stwarza to np. dość złożony problem dla USA. Granica lądowa między obu krajami (3300 km) jest słabo strzeżona. Jeszcze mniej jest strzeżona granica morska (jeszcze dłuższa od lądowej). Powoduje to masową nielegalną imigrację Meksykanów do USA i to w chwili, gdy bezrobocie przekroczyło tam 8 milionów osób. W tym samym czasie liczba „nielegalnych najemników” (trudno ich bowiem nazwać tylko robotnikami) osiągnęła w tym kraju również 8 milionów, przy czym są to głównie właśnie Meksykanie, którzy chwytają się każdej pracy i za każdą płacę. A co będzie w przyszłości?

Okres wielkiej emigracji minął już bezpowrotnie, toteż zamiast

<sup>11</sup> „International Herald Tribune” z 30—31 sierpnia 1975 r.

bezpośredniego eksportu wolnych rąk do pracy — trzeba eksportować towary i usługi. Powinny to czynić przede wszystkim kraje rozwijające się. Do tego jednak ani „centrum”, ani stworzona przez nie „struktura” nie tylko nie są gotowe, ale są temu wręcz wrogie.

Kontynuujemy jednak przykłady.

Obecnie (wg danych z 1974 r.) w krajach rozwijających się jest zarejestrowane 33 miliony bezrobotnych, natomiast liczba tylko częściowo zatrudnionych szacowana jest na 250 milionów<sup>12</sup>. Łącznie więc w krajach tych można mówić o 283 milionach bezrobotnych lub prawie bezrobotnych. Zastanówmy się chwilę nad tą liczbą — jest to aż 40% całej siły roboczej w krajach rozwijających się, którą szacuje się na 710 milionów osób (bez Chin). W rolnictwie na 480 milionów ludzi zdolnych do pracy aż połowa nie może znaleźć zatrudnienia poza dorywczym.

A podaż siły roboczej zaczyna w tych krajach wzrastać w tempie przyspieszonym. Podczas gdy w latach 1900—1950 wzrastała ona o 0,6% rocznie, to teraz zwiększa się już o 2,5% średnio w roku. W roku 2000 liczba ludzi zdolnych do pracy w krajach rozwijających się, łącznie z azjatyckimi krajami socjalistycznymi, może osiągnąć 2,25 miliarda, z czego 1,4 miliarda w krajach niesocjalistycznych. Oznacza to, że tylko te ostatnie kraje musiałyby zwiększyć zatrudnienie z obecnych 425 milionów do 1,4 miliarda, a więc w przybliżeniu aż o miliard osób.

Historia nie zna podobnego wyczynu i jest raczej wątpliwe, czy uda się stworzyć tyle miejsc pracy bez radykalnych przemian społecznych, choć i te jeszcze wszystkiego tu nie rozwiążą...

Ale kontynuujemy przykłady.

Wchłonięcie takiej masy wchodzącej na rynek siły roboczej wymagałoby tempa rozwoju krajów rozwijających się rzędu 10—13% rocznie w zależności od kraju, tj. przeciętnie dwukrotnie wyższego niż obecne<sup>13</sup>. A przypomnijmy, że przyspieszenie to musiałyby nastąpić w okresie zwolnionego rozwoju gospodarki światowej i handlu międzynarodowego, co może raczej utrudnić niż ułatwić osiągnięcie tego celu.

<sup>12</sup> Por. *Employment, Growth and Basic Needs. First Draft Report*, ILO, Genève 1975, s. 31.

<sup>13</sup> Por. tamże, s. 39.

Coś trzeba jednak robić. Dlatego kraje rozwijające się (nie licząc Chin) stawiają m. in. na wzrost swego udziału w produkcji przemysłowej świata z obecnych 7 do 25% w 2000 r. Mówią o tym uchwalone przez II Ogólną Konferencję UNIDO w Limie (26 marca 1975 r.) Deklaracja i Plan Działania. Zastanówmy się, jakie byłyby konsekwencje realizacji tego, niezbyt zresztą wygórowanego celu dla reszty świata.

Otóż uważa się, że jego realizacja pociągnęłaby za sobą m. in. konieczność wzrostu eksportu wyrobów przemysłowych z krajów rozwijających się (ciągle bez Chin) o 12% rocznie, tj. w latach 1973—2000 eksport ten wzrósłby aż 21-krotnie<sup>14</sup>. Konsekwencje dla handlu światowego byłyby zatem ogromne. Udział omawianych krajów w światowym eksporcie wyrobów przemysłowych w roku 2000 wyniósłby bowiem 25%, przy czym wartość światowego eksportu wyrobów przemysłowych na ten rok szacuje się na 2,14 biliona dolarów w cenach z 1973 r., a więc ma on być w przybliżeniu aż 4-krotnie większy niż cały eksport światowy w 1973 r. Ale nawet nie to jest najważniejsze.

Prognozy te zakładają, że eksport wyrobów przemysłowych z krajów rozwijających się będzie w roku 2000 trzykrotnie większy niż odpowiedni eksport z europejskich krajów socjalistycznych, choć w 1973 r. wywóz artykułów przemysłowych z tych ostatnich był większy o 50%. Ponadto przy wyższym wariacie kraje rozwijające się miałyby mieć dodatnie saldo obrotów wyrobami przemysłowymi z krajami RWPG, a przy niższym wyrównane...

Wprawdzie najbardziej miałyby się rozwinąć obroty wyrobami przemysłowymi między krajami rozwijającymi się, ale głównym rynkiem zbytu miałyby być dla nich kraje rozwinięte (w tym i RWPG). Jest to nawet zrozumiałe, gdyż industrializacja tych krajów opierałaby się na imporcie urządzeń z krajów uprzemysłowionych, który potem należałoby spłacać właśnie eksportem wyrobów przemysłowych. Logiczne, prawda? Tylko czy to jest realne i jakie byłyby tego reperkusje w handlu światowym? A co będzie, jeśli prognozy się nie sprawdzą?

Prognozy opierają się bowiem na założeniu, że tempo produk-

<sup>14</sup> Por. dokument UNCTAD — TD/B/C.2/154, z 21 maja 1975 r., s. 4.

cji przemysłowej w krajach rozwijających się wzrośnie w omawianym okresie z obecnych 7,5 do 10% średniorocznie, a w rozwiniętych krajach kapitalistycznych i europejskich krajach socjalistycznych spadnie odpowiednio z 5,5 do 4% i z 9 do 6%.

Dlaczego miałyby tak być — nie wiadomo. Ale jednocześnie można zapytać — a jaka jest inna alternatywa? Silna presja demograficzna w krajach rozwijających się jest dziś bowiem niezaprzeczalnym faktem. A to z kolei powoduje, że dramatyczna już obecnie sytuacja w dziedzinie zatrudnienia ma tendencje do pogłębiania się.

Zresztą mówi się, że zelzenie presji demograficznej może nastąpić tylko w trakcie rozwoju tych krajów (jak to wykazuje przykład krajów rozwiniętych, choć także nie wszystkich i nie zawsze). Ale rozwój — to przede wszystkim industrializacja.

Industrializacja krajów rozwijających się ma jednakże, jak widzimy, swoje konsekwencje. Nie zajmujemy się tu problemem, czy postulowane tempo możliwe jest do osiągnięcia. Powinno być jednak możliwe, żeby można było zatrudnić przyrastającą w szybkim tempie siłę roboczą.

Industrializacja pociągnie za sobą olbrzymi import urządzeń i technologii. Nieważne nawet, w jaki sposób za import ten kraje rozwijające się będą płacić. Raz stworzony przez nie potencjał przemysłowy będzie musiał znaleźć swe ujście na zewnątrz w formie eksportu wyrobów przemysłowych.

Czy świat jest do takiego eksportu przygotowany? Czy „struktura” stworzona przez „centrum” w ogóle gotowa jest do „akomodacji” takiej możliwości? Przecież już obecnie jest ona w stanie agonialnym, choć omawiane zjawiska właściwie wcale jeszcze nie dały znać o sobie...

A jaka inna „struktura” będzie w stanie rozwiązać omawiane dylematy?

Omawiana presja postawiła też z całą ostrością przed krajami rozwijającymi się dwa problemy:

- przeludnienia wsi i
- urbanizacji.

W chwili obecnej Chiny po swojemu i Tanzania po swojemu próbują jakoś rozwiązać problem przeludnienia wsi, ale wyniki tych poczynań są raczej mało znane, a ponadto nie wiadomo, czy



są one trwałe. W innych krajach rozwijających się trwa masowa migracja ze wsi do miasta.

Szacuje się, że w roku 2000 ludność świata ma być w 55% zurbanizowana, a w Ameryce Łacińskiej aż 76%<sup>15</sup>, przy czym w takich krajach jak Argentyna, Urugwaj i Chile udział ludności miejskiej może przekroczyć 88%.

Już w 1985 r., a więc już za niecałe 8 lat, niektóre miasta w krajach rozwijających się osiągną następującą, imponującą zaiste, liczbę mieszkańców (w milionach): Mexico City — 17,9, São Paulo — 16,8, Szanghaj — 14,3, Bombaj — 12,7, Pekin — 12, Buenos Aires — 11,7, Rio de Janeiro — 11,4<sup>16</sup>. O Kalkucie 2000 roku mówi się jako o mieście 60-milionowym...<sup>17</sup>

Jak widać z powyższego, łańcuch konsekwencji jest tu wyraźny: presja demograficzna → urbanizacja → zatrudnienie → przemysł → eksport. Tylko dokąd? „Po drodze” niejako trzeba jeszcze znaleźć środki na urbanizację, a to wcale nie jest takie łatwe. Co prawda urbanizacja wcale nie musi oznaczać zatrudnienia, zatrudnienie z kolei nie musi ograniczać się do przemysłu, a produkcja przemysłowa sama przez się nie oznacza jeszcze eksportu, ale mimo wszystko jakiś taki łańcuch konsekwencji staje się coraz bardziej widoczny.

W każdym razie, jeśli tak miałyby być, to problemy demograficzne staną się do tego stopnia eksplozyjne, iż mogą stanowić wspomnianą na początku naturalną barierę rozwoju gospodarki światowej i handlu międzynarodowego. Współzależność narodów świata bowiem niewątpliwie wzrosła i nie można się ludzić, że komukolwiek uda się w pełni odizolować od wydarzeń w poszczególnych krajach. Zwłaszcza jeśli te „poszczególne kraje” nie tylko już teraz stanowią absolutną większość ludzkości, a w najbliższej przyszłości przewaga tej większości jeszcze wzrośnie. Kraje rozwinięte są już bowiem bliskie stabilizacji liczby swojej ludności (RFN, NRD i Luksemburg już ją osiągnęły, choć nie wiadomo, czy jest to zjawisko trwałe).

Tak więc w strategii rozwojowej gospodarki światowej i towarzyszącej jej strategii rozwoju międzynarodowych stosunków gos-

<sup>15</sup> Por. „Financial Times” z 10 marca 1975 r., suplement.

<sup>16</sup> Por. „Development Forum”, lipiec — sierpień 1975, suplement.

<sup>17</sup> Por. M. Mesarović, E. Pestel, *Strategie pour demain*, Paris 1974, s. 90—91.

podarczych problemy demograficzne odgrywać będą coraz większą rolę i od umiejętności ich rozwiązania może być uzależniony sam przebieg omawianego rozwoju. W przypadku nieudolnych i spóźnionych rozwiązań — szeroko pojęte problemy demograficzne mogą się stać naturalną barierą rozwoju, gdyż wprowadzą doń szereg czynników destabilizujących, które mogą się przyczynić do wzrostu różnego rodzaju napięć, zarówno wewnętrznych jak i zewnętrznych. Napięcia takie mogą utrudnić współpracę między narodami, a jednocześnie wzmocnić tendencję do konfrontacji, której początki już zauważamy.

Przejdźmy teraz do następnego zagadnienia, a mianowicie do kwestii żywienia.

Wyżywienie to odwieczny problem ludzkości. Głód nie opuścił jej bowiem nigdy. Z głodu ludzie zjadali samych siebie, polowali na zwierzęta, a teraz hodują je dla mięsa. Przypuszcza się również, że głód był przyczyną wędrówek ludów, gdyż wskutek zmian klimatycznych pewne urodzajne obszary przestawały nadawać się do uprawy i trzeba było szukać nowych. Zawsze też ludzie byli skłonni do potyczek i wojen, jeśli nieprzyjaciel chciał ich odciąć od zaopatrzenia w żywność, niszcząc im stada czy zbiory. Jedzenie jest bowiem pierwszą potrzebą człowieka i tę prawdę zna absolutnie każdy człowiek.

Jak już wspominaliśmy, istnieją optymiści, którzy wierzą, iż glob ziemski może wyżywić, nawet przy obecnym stanie wiedzy, 50—60 miliardów ludzi. Ale są i pesymiści, którzy twierdzą, że już obecnie jest o połowę ludzi za dużo..

Jak jest jednak naprawdę?

Człowiek rzeczywiście przełamał Maltusowską teorię o nienadążaniu podaży żywności za przyrostem naturalnym. Tylko nie wszędzie to jest prawdą i nie wiadomo, jak długo obowiązywać będą obecne prawdy...

Ale prawdą jest, że w stanie Iowa w USA zbiera się z hektara 6,4 tony kukurydzy, co umożliwia wyżywienie 24 osób dziennie przy racji 2,5 tysiąca kalorii na głowę. Dla wyżywienia więc 3,8 miliarda ludzi (tyle bowiem było wtedy, gdy obliczenia dokonano) potrzeba byłoby tylko 158 milionów hektarów, dających tylko jeden zbiór w ciągu roku<sup>18</sup>. Tymczasem pod uprawami znajduje się

<sup>18</sup> Por. R. Revelle, *Food...*, jw.

w skali światowej 1,4 miliarda hektarów, a jeden hektar żywi przeciętnie tylko 2,7 osób... A cały „potencjał uprawowy” naszego globu oceniany jest na 3,2 miliarda hektarów, co równa się 24<sup>0</sup>/<sub>0</sub> jego powierzchni.

Wszystko wygląda więc niby nie najgorzej. Nawet zresztą bez zagospodarowywania dodatkowych połaci globu można wyżywić znacznie więcej ludzi niż dziś, jeśli się podniesie wydajność obecnie kultywowanych gleb.

Jest to niewątpliwie prawda ogólna. Ale, niestety, tylko ogólna. Są też bowiem prawdy konkretne, które w dodatku nie mogą latami czekać na „rozwiązanie”. Jakież są te prawdy konkretne?

Wyżej wspominaliśmy już, że około 900 milionów ludzi na świecie w mniejszym lub większym stopniu głoduje. Mówi się nawet, że 25<sup>0</sup>/<sub>0</sub> ludzkości się przejada, a 75<sup>0</sup>/<sub>0</sub> nie dojada...

Prawda konkretna jest więc taka, że jak na razie, są trudności z wyżywieniem obecnej liczby mieszkańców globu, a przecież liczba ta gwałtownie się zwiększa. Jeśli przyjmiemy, że ustabilizuje się ona mniej więcej na poziomie 14 miliardów w połowie przyszłego wieku, to powstaje problem znalezienia dodatkowej masy żywności dla 10 miliardów nowych mieszkańców, a nie zapominajmy, że powinni być oni lepiej odżywieni niż obecnie.

Jeszcze nie tak dawno nie podnoszono alarmu w tej sprawie. Okres lat 1951—1971 przyniósł ze sobą podwojenie produkcji zbóż przy wzroście liczby ludności o 50<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. Produkcja zbóż na jednego mieszkańca globu wzrosła nawet o 40<sup>0</sup>/<sub>0</sub><sup>19</sup>. Ale znowu, po raz któryś z kolei, do głosu doszło „prawo nierównomierności”. Więcej bowiem niż połowa przyrostu produkcji zbóż przypadła na najzamożniejszą część świata, tj. na około 30<sup>0</sup>/<sub>0</sub> mieszkańców globu, podczas gdy niecała połowa — na pozostałe ponad 70<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, a i tu jeszcze wystąpiły dalsze nierównomierności.

Jednakże ogólnie rzecz biorąc, również w krajach rozwijających się produkcja zbóż wzrastała w omawianym okresie nieco szybciej niż przyrost naturalny (mniej więcej o 0,3 punktu). Przy tym w Ameryce Łacińskiej przyrost ten wyprzedzał tempo przyrostu naturalnego nawet o 0,9 punktu, w Azji (bez Chin) — o 0,2 punktu, ale już w Afryce nie nadążał za przyrostem naturalnym i wysiósł minus 1,1 punktu.

<sup>19</sup> Por. tamże.

Sytuacja gwałtownie pogorszyła się w 1972 r. i potem jeszcze w 1973 r., głównie w wyniku nie sprzyjających warunków atmosferycznych, choć nie tylko. Spadek produkcji zbóż w świecie w 1972 r. był, jak dotąd (tj. do końca 1976 r.), największy w historii i wyniósł 33 miliony ton, przy ogólnej produkcji około 1,2 miliarda ton. W normalnej sytuacji rok 1972 powinien dać co najmniej 25 milionów ton przyrostu produkcji zbóż<sup>20</sup>, a wystąpił spadek. Był to olbrzymi szok dla świata. Tylko czy ostatni?

Dodatkowo, spadek produkcji zbóż nastąpił w momencie, kiedy ogólny popyt na żywność w świecie zaczął wykazywać tendencje zwykłe (tak np. w krajach rozwijających się roczny wzrost tego popytu zaczął dochodzić do 3,5<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, a w krajach rozwiniętych — do 2,5<sup>0</sup>/<sub>0</sub>). Światowe zapasy zbóż gwałtownie spadły, co nawet wywołało swego rodzaju panikę. Na przykład zapasy pszenicy zmniejszyły się do 29 milionów ton, czyli wystarczały tylko na 26 dni, podczas gdy w 1961 r. odpowiednie zapasy mogły zaspokoić popyt przez 95 dni. W konsekwencji tego nieurodzaju import zbóż do krajów rozwijających się uległ więcej niż podwojeniu i w roku gospodarczym 1973/1974 wyniósł 60 milionów ton. I choć obecnie sytuacja nie jest tak zła jak w latach 1972—1973, to jednak jest nadal niedobra i nie może powrócić do stanu z lat 1951—1971. Co gorsza, nie można wykluczyć występowania dalszych poważnych nieurodzajów.

Warto bowiem zaznaczyć, że coraz częściej mówi się o zmianie klimatu, która podobno występuje z pewną regularnością co 100 tysięcy lat<sup>21</sup>. Trudno oczywiście niefachowcom (a i fachowcy są różnego zdania) wypowiadać się, czy tak jest naprawdę. W każdym razie niektórzy twierdzą, że obecnie wchodzimy w okres ochładzania się atmosfery okołoziemskiej<sup>22</sup>. Uważa się nawet, że od połowy lat czterdziestych już nastąpił spadek jej temperatury o 1<sup>0</sup>F, co wydłużyło okres wegetacji na niektórych obszarach o 10 dni. Ochłodzenie łączy się jednocześnie z suszą

<sup>20</sup> *Preliminary Assessment of the World Food Situation — Present and Future*, World Food Conference, E/Conf. 65/Prep. 6, Rome 1974, s. 1.

<sup>21</sup> Por. T. Alexander, *Ominous Changes in the World's Weather*, „Fortune”, luty 1974.

<sup>22</sup> Por. E. Schneour, *Sous-developpement et malnutrition pourraient condamner 500 millions d'enfants à la déficience mentale*, „Tribune de Genève” z 24 kwietnia 1975 r.



wskutek „blokady” deszczów. Jak jest naprawdę — nie spekulujmy, ale odnotujmy tego rodzaju poglądy.

Ale i bez tego rodzaju niezbyt zachęcających prognoz sprawa produkcji żywności w świecie staje się poważnym problemem.

Mówiliśmy już o masowym niedożywieniu poważnej części ludzkości. Fakt ten może pociągnąć za sobą już nie tylko społeczne skutki. W myśl bowiem niektórych poglądów, najbardziej niedożywionymi ludźmi w niektórych regionach świata są dzieci. Liczbę takich dzieci ocenia się aż na 500 milionów<sup>23</sup>. Z drugiej strony uważa się, że mózg czteroletniego dziecka waży tylko o 10% mniej niż mózg dorosłego człowieka. Niedożywienie dziecka w łonie matki i w ciągu pierwszych 4 lat życia może zatem, jak się sądzi, spowodować trwałe uszkodzenia mózgu, które potem dorosłego człowieka uczynią nie w pełni sprawnym.

Trudno oczywiście znów wypowiadać się w tej sprawie, ale odnotujmy taki pogląd. Tym bardziej że coraz częściej zaczyna się mówić o części ludzkości jako o „podczłowieczeństwie”, skąd już tylko krok do różnych teorii rasistowskich...

W każdym razie faktem jest, że tylko w Azji Południowo-Wschodniej wskutek niedożywienia około 100 tysięcy dzieci rocznie traci wzrok (brak witaminy A). Nierównomierność rozwoju, przed którą nie możemy uciec w naszych rozważaniach, bardzo więc dramatycznie odbija się na poziomie wyżywienia w układzie regionalnym.

Jak już wspominaliśmy, kraje rozwinięte, które stanowią mniejszość w świecie (30% ludności), produkują 60% całej żywności. Nic więc dziwnego, że znajduje to odbicie w poziomie odżywiania się. Spożycie kalorii i protein w krajach rozwiniętych jest za wysokie w stosunku do potrzeb człowieka o odpowiednio 22 i 12%. Przeciętne spożycie kalorii wynosi tu 3100 na głowę, protein zaś — 93 gramy. Odpowiednia „dawka żywieniowa” w krajach rozwijających wynosi 2300 kalorii i 58 gramów<sup>24</sup>. Za niezbędny poziom uważa się 2500 kalorii, przy czym w krajach rozwijających się ze względu na masowe występowanie pasożytów jelitowych norma ta musiałaby być co najmniej o 10% większa, aby dotknięty tą chorobą człowiek mógł otrzymać niezbędną ich ilość.

<sup>23</sup> Por. tamże.

<sup>24</sup> Por. *Preliminary Assessment...*, jw., s. 37—39.

W krajach Ameryki Łacińskiej, gdzie sytuacja wyżywniowa jest i tak lepsza niż w innych krajach rozwijających się, powszechnym zjawiskiem jest anemia, której przyczyną jest niedożywienie. U mężczyzn występuje ona w 5—15% badanych przypadków, u kobiet — w 10—35%, u dzieci zaś — aż w połowie...<sup>25</sup> I podczas gdy z pełnym uzasadnieniem można kwestionować „zalatujące na odległość” rasizmem teorie „podczłowieczeństwa”, to nie można uznać anemii za czyniącą człowieka umysłowo i fizycznie sprawniejszym od człowieka nieanemicznego...

Tak więc żywność jest problemem w krajach rozwijających się. Jak go jednak rozwiązać i kiedy takie rozwiązanie jest możliwe?

Jeszcze kilka lat temu wielkie nadzieje wywoływała „zielona rewolucja”. Posypały się nagrody Nobla, a nawet zaczęto mówić o możliwości eksportowania zbóż przez Indie. Jeden duży neurodzaj ostudził zapały. Ale czy chodzi tu tylko o neurodzaje?

Najnowsze prognozy popytu na żywność nie są zbyt „odważne”, a raczej ostrożne, ale i tak zakładają do 1985 r. roczny wzrost w wysokości 2,5% (przy tylko dwuprocentowym przyroście naturalnym).

Przyjmijmy, że tak naprawdę będzie. Jednakże z góry wiadomo, że popyt ten będzie się rozkładał bardzo nierównomiernie. Tak np. w krajach rozwiniętych (w tym także w krajach RWPG) miałyby on wzrastać do 1985 r. o 1,6% rocznie, a w krajach rozwijających się — o 3,7%. Ale gdyby nawet popyt ten zaspokoić, to i tak byłoby wtedy na świecie 365 milionów ludzi chronicznie niedożywionych. Co więcej, deficyt zbóż w krajach rozwijających się wyniósłby wtedy 85 milionów ton, czy byłby trzy razy większy od przeciętnego ich importu przez te kraje w „normalnych” latach 1969—1971. Jednakże, jak wiadomo, mogą przyjść lata neurodzaju, a wtedy deficyt może osiągnąć 100 milionów ton. Jeśli zaś uwzględnić cały świat, to deficyt może w niektórych latach wynieść 130—140 milionów ton<sup>26</sup>.

Jednocześnie nikt nie może powiedzieć, ile w 1985 r. kosztować będzie tona zbóż. Doświadczenie ostatnich lat uczy, że niespodzianki w tej dziedzinie mogą być wręcz szokujące: Tak np. w 1971 r. tona pszenicy amerykańskiej kosztowała przeciętnie

<sup>25</sup> Por. tamże, s. 10.

<sup>26</sup> Por. tamże, s. 6.

62 dolary, ale w lutym 1974 r. już 220 dolarów. Cena ryżu tajlandzkiego w tym samym okresie wzrosła ze 129 do 595 dolarów za tonę<sup>27</sup>.

Dziś (czyli w momencie pisania niniejszego, tj. w końcu 1976 r.), sytuacja jest nieco inna, ale jaka będzie ona jutro? W każdym razie, deficyt żywności w krajach rozwijających się w 1985 r. w wysokości 80—90 milionów ton, przy cenie nawet rzędu 200 dolarów za tonę zboża (w tym byłyby i droższy ryż), oznaczałoby konieczność wydatkowania sumy 16—18 miliardów dolarów rocznie na import tych artykułów. Znalezienie dewiz na rosnący import zbóż przekracza możliwości wielu krajów rozwijających się<sup>28</sup>, pomoc z zewnątrz zaś wykazuje raczej tendencję spadkową. A co więcej — skąd to zboże wziąć?

Teoretycznie produkcję zbóż mogą najpewniej (choć wcale nie najtaniej i najszybciej) zwiększyć kraje rozwinięte, zwłaszcza USA i Kanada. Tylko że na takie rozwiązanie kraje rozwijające się nie mogą liczyć jako na rozwiązanie trwałe. Najszybszym rozwiązaniem problemu byłoby dla nich podniesienie wydajności własnego rolnictwa. Najskuteczniejszym zaś środkiem, który by to umożliwił, byłoby zwiększenie zużycia nawozów sztucznych. Wydajność zbóż z hektara wynosi bowiem w Belgii średnio 42 kwintale, w Wielkiej Brytanii — 41, a USA 39, natomiast w krajach rozwijających się — przeciętnie 15 kwintali<sup>29</sup>. Rezerwy są więc duże. Tylko jak je „ugryźć”?

Tajemnica kryje się, jak wspomniano, przede wszystkim w ilości zużywanych nawozów sztucznych. Tymczasem ich produkcja skoncentrowana jest głównie w krajach rozwiniętych. W roku gospodarczym 1972/1973 wyprodukowano na świecie 82 miliony ton nawozów sztucznych, z czego 72 miliony ton w krajach rozwiniętych (łącznie z krajami RWPG)<sup>30</sup>, a więc proporcja była tu jak 7:1. Ale konsumpcja nawozów sztucznych w tych pierwszych wyniosła 61 milionów ton, a w tych drugich 15 milionów ton, czyli tu stosunek był jak 4:1. Kraje rozwijające się są więc netto

<sup>27</sup> Por. tamże, s. 15.

<sup>28</sup> Gdyby Indie chciały na warunkach handlowych zakupić w 1974 r. 5 milionów ton zbóż, to równałoby się to 1/3 ich wpływów z eksportu. Por. „Financial Times” z 21 października 1974 r.

<sup>29</sup> Por. „Development Forum”, listopad 1974.

<sup>30</sup> Por. „Preliminary Assessment...”, jw., s. 28.

importerem nawozów sztucznych, a importowałyby ich zapewne więcej, gdyby miały na to pieniądze i było skąd je importować. „Zielona rewolucja” profesora Borlaugha to przecież wysokopienne, ale „nawozochłonne” odmiany zbóż...

Nie byłoby jednak tak źle, gdyby nie koszty tego wszystkiego. Otóż ceny nawozów sztucznych wzrosły w latach 1971—1973 bodaj jeszcze bardziej niż jakiegokolwiek innego towaru. Tak np. cena 1 tony mocznika wzrosła z 40 do 260 dolarów, amoniaku z 38 do 315 dolarów, a fosforytów z 14 do 42 dolarów<sup>31</sup>.

Wzrost cen nawozów sztucznych (dziś sytuacja nieco się poprawiła, choć nie powróciła do dawnego stanu, nie wiadomo jednak, czy znów się nie pogorszy) utrudnia w zasadniczy sposób ich stosowanie w krajach rozwijających się. Chodzi przy tym nie tylko o brak dewiz na ich import i trudności w znalezieniu dostawcy, ale również o to, że przy wysokich cenach nie mogą ich stosować biedniejsi chłopcy, których są w tych krajach miliony. W Indiach następuje nawet odwrót od uprawy pszenicy, która wymaga nawozów w większym stopniu niż inne tradycyjne uprawy<sup>32</sup>.

Paradoks polega na tym, że jeśli gdzieś w świecie nawozy sztuczne potrzebne są najbardziej, to właśnie w krajach rozwijających się... Tak np. wysianie 1 tony nawozów sztucznych w tych krajach daje wzrost produkcji zbóż o 10 ton<sup>33</sup>, natomiast w krajach rozwiniętych — już tylko o 6 ton<sup>34</sup>. Indiom brakowało zaś 10 milionów ton zboża, czyli inaczej — miliona ton nawozów sztucznych...

Kraje rozwijające się wydatkowały w 1970 r. na import nawozów sztucznych 0,5 miliarda dolarów, w 1973 r. — już miliard dolarów, a w 1974 r. szacowano te wydatki na 1,8 miliarda dolarów<sup>35</sup>. Nie ulega więc żadnej wątpliwości, że import zbóż i nawozów sztucznych staje się dla tych krajów olbrzymim obciążeniem, które hamuje tempo ich rozwoju gospodarczego.

Warte jest przy tym podkreślenia, że kraje te posiadają surowce niezbędne do produkcji nawozów, a nowe złoża ciągle się od-

<sup>31</sup> Por. „The Economist” 20 kwietnia 1974 r. i z 25 maja 1974 r.

<sup>32</sup> Por. „Le Monde” z 3 kwietnia 1974 r.

<sup>33</sup> Por. „The Economist” z 20 kwietnia 1974 r.

<sup>34</sup> Por. „The Economist”, z 25 maja 1974 r.

<sup>35</sup> Por. „The Times”, z 12 grudnia 1974 r.



krywa (jak np. w Azji Południowo-Wschodniej, którą dotąd uważano za deficytową pod tym względem)<sup>36</sup>. Tylko że stworzenie odpowiednich mocy produkcyjnych w tym zakresie, to przyszłowiowa muzyka przyszłości, a czas nagli...

Powróćmy jeszcze raz do konkretnego przypadku Indii, gdzie sprawy wyżywienia ludności urastają do naczelnego problemu.

Eksperti twierdzą, że kraj ten jest w stanie podwoić swą produkcję zbóż w ciągu najbliższych 15 lat (do 220 milionów ton). Podwojenie takie już zresztą osiągnięto w ciągu ostatnich 20 lat, jednakże było ono względnie łatwe, bo ekstensywne. Teraz trzeba by potroić powierzchnię terenów zirygowanych, a zużycie nawozów zwielokrotnić, no i oczywiście dokonać innych posunięć<sup>37</sup>.

Na razie nie bardzo wiadomo, jak i kiedy się to osiągnie. Wzrost cen ropy skomplikował bowiem w Indiach sytuację z energią, która konieczna jest do irygacji i produkcji nawozów sztucznych. Fabryki tych ostatnich nie wykorzystują w pełni swych mocy produkcyjnych ze względu na brak energii.

Wygląda więc na to, że przynajmniej w ciągu najbliższych lat, krajom rozwijającym się grozi kontynuowanie importu zbóż i nawozów sztucznych, a ludności tych krajów — pozostawanie w stanie niedożywienia. Oczywiście, wiele mogłoby się tu zmienić wskutek reform społecznych, ale podstawowe trudności utrzymałyby się jeszcze przez długi czas...

Sytuacja jest więc już nie tylko trudna, ale wręcz groźna. Jeszcze w latach 1934—1938 Ameryka Łacińska była netto eksporterem zbóż (9 milionów ton), podobnie zresztą jak Azja (2 miliony ton) i Afryka (1 milion ton). Ale już w 1972 r. Ameryka Łacińska stała się ich importerem (4 miliony ton), podobnie jak Azja (35 milionów ton) i Afryka (5 milionów ton)<sup>38</sup>. Podczas gdy przed II wojną światową jedynym netto importerem zbóż była Europa Zachodnia, a wszystkie inne regiony były ich eksporterami, to w 1972 r. eksporterami pozostały tylko Ameryka Północna i Australia (odpowiednio 84 i 8 milionów ton).

Jeśli miałyby być tak dalej, to perspektywy dla krajów rozwijających się są złe. Nie ma bowiem pewności, że import zbóż do

<sup>36</sup> Por. „Financial Times” z 22 sierpnia 1975 r.

<sup>37</sup> Por. „The Economist” z 22 czerwca 1974 r.

<sup>38</sup> Por. „Wall Street Journal” z 10 października 1973 r.

tego obszaru będzie nadal dokonywany na warunkach ulgowych, może natomiast zacząć przechodzić na warunki handlowe, co zresztą zdarza się już coraz częściej. Wówczas bez wątpienia znakomita większość krajów rozwijających się nie będzie w stanie sobie nań pozwolić.

Tylko że wtedy reperkusje tego mogą nabrać kształtu politycznego. Już teraz coraz częściej mówi się o „białym kanibalizmie”, tj. że syty biały człowiek pożera głodującego człowieka kolorowego... Przeciętny Amerykanin konsumuje bowiem 1000 kilogramów zbóż rocznie, z czego tylko 90 kilogramów bezpośrednio, a resztę pośrednio w postaci mięsa i produktów mleczarsko-jajczarskich. Przeciętny Hindus zaś spożywa około 200 kilogramów zboża i to przeważnie nie przetworzonego na mięso. Nic więc dziwnego, że powstaje wrażenie, iż „jeden pożera drugiego”. Tylko jakie jest wyjście z tej sytuacji?

Jeśli obecna sytuacja demograficzna w Azji Południowo-Wschodniej (z Indiami) utrzyma się do końca bieżącego stulecia, to przybędzie tam 140 osób na kilometr kwadratowy i średnia gęstość zaludnienia dojdzie do 390 osób, podczas gdy „przeludniona” Europa Zachodnia ma 85 osób na kilometr kwadratowy... W Ameryce Północnej odpowiedni przyrost wyniesie tylko 7 osób. W ten sposób 1 kilometr kwadratowy w Azji Południowo-Wschodniej będzie musiał wyżywić w 2000 r. 390 ludzi, a w Ameryce Północnej tylko 37<sup>39</sup>. Ale to jeszcze nie koniec. Gdyby sytuację Azji Południowo-Wschodniej ekstrapolować do roku 2025 (liczba ludności może tam wtedy osiągnąć 3,8 miliarda wobec 1,3 miliarda obecnie), to import zbóż do tego regionu musiałby wynieść... 0,5 miliarda ton rocznie, czyli dwukrotnie więcej niż wynosi obecnie produkcja wszystkich zbóż głównego eksportera, tj. Ameryki Północnej<sup>40</sup>.

Nie spekulujmy już dalej. Ale stwierdźmy, że problem żywności stanowi dla krajów rozwijających się, przynajmniej na dziś, barierę rozwoju, a bariera ta może stać się ogólnościową...

I wreszcie następna bariera naturalna — to problemy środowiska naturalnego.

Problem jako taki należy do „najmłodszych”. „Odkryto” go

<sup>39</sup> Por. M. Mesarović, E. Pestel, *Strategie...*, jw., s. 88—91.

<sup>40</sup> Por. tamże, s. 128.

dopiero kilka lat temu, ale dostarczył już wystarczająco dużo rewelacji. Nie ma prawie dnia, aby nasza wiedza nie wzbogacała się o nowe fakty z tej dziedziny i należy zakładać, że w miarę upływu czasu jeszcze się niejednego dowiemy. Wiele też naszych pojęć na temat ludzkich osiągnięć może w świetle tych „odkryć” ulec radykalnej rewizji, podobnie jak ściągnięto z piedestału taki „cud domniemany” jak DDT. Wielu faktów po prostu ciągle nie znamy, ale to, co już wiemy, może nas przyprawić o przysłowiowy zawrót głowy...

W każdym razie jedno jest pewne, to mianowicie, że ludzkości nie stać na dalszy beztronski rozwój gospodarczy, który zakłócałby równowagę ekologiczną w świecie.

Zresztą mówić o zakłócaniu w przyszłości, to jeszcze nie wszystko. Trzeba się zastanawiać, jak odrobić zakłócenia dokonane w przeszłości i ciągle dokonywane w teraźniejszości. Poza tym, niektórzy przypisują działalności człowieka pogarszanie się warunków atmosferycznych na kuli ziemskiej, co w ogóle może kiedyś zagrozić istnieniu ludzkości...

Ale nie idźmy aż tak daleko.

Najgorsze, że człowiek, jak to już podkreśliliśmy wyżej, za mało jeszcze wie na temat skutków swojej działalności. A to, co wie, przywodzi niektórych do dosłownie mrozącego krew w żyłach powiedzonka, że świat toczony jest przez raka, a tym rakiem jest człowiek...

Najróżniejsze badania w tej dziedzinie trwają i dziś jeszcze nie wiadomo, do jakiego stopnia względy ochrony środowiska naturalnego mogą stać się hamulcem rozwoju gospodarczego. Pierwsze wyniki ciągle ulegają rewizji w górę.

To jednak, co już wiadomo, choć jak twierdzi OECD<sup>41</sup>, szacunki są tu zaniżone, wystarczy do postawienia tezy, że nawet jeśli rozwój jako taki może nie być ze „środowiskowych względów” zahamowany, to na pewno będzie droższy, a tym samym wolniejszy. W jakim jednak stopniu rozwój gospodarczy obciążony jest ochroną środowiska naturalnego już dzisiaj?

Otóż sama tylko „kontrola polucji”, tj. budowa i eksploatacja urządzeń zapobiegających lub redukujących zanieczyszczanie powietrza i wody, może pochłonąć w USA w 1980 r. 2,2% pro-

<sup>41</sup> Por. *Analysis of Costs of Pollution Control, OECD Report, Paris 1973, s. 3.*

duktu narodowego brutto, w RFN zaś, jak zakładano, już w 1975 r. — 1,8%, a w Holandii — 1,5% GNP<sup>42</sup>, przy czym w raporcie OECD zastrzegano się, że rzeczywiste koszty mogą być wyższe. Co więcej, gdyby chciano zaostrzyć „standard antypolucyjny”, to koszty — w myśl przewidywań tego raportu — wzrosłyby niemal w postępie geometrycznym. Obecne urządzenia antypolucyjne pracują bowiem „na taryfie ulgowej”, toteż koszty walki z zanieczyszczeniem nie są na razie prohibicyjne. Zresztą dodajmy, że w wielu przypadkach nauka nie zna jeszcze metod skutecznej walki z niektórymi polutantami. Na przykład nie umie się dotychczas odsiarzać dymów powstających przy spalaniu węgla.

Czy jednakże w przyszłości owe „ulgowe” standardy nie będą musiały być zaostrzone?

Odpowiedź nie jest prosta. Prawdopodobnie będzie tak — kto będzie miał na to środki, będzie zwiększał rygor. A co ma zrobić ten, kto nie będzie miał? W Japonii tylko w ciągu 5 lat (1971—1975) planowano niemal podwojenie nakładów na walkę z zanieczyszczeniem (z 1,2 do 2,1% GNP)<sup>43</sup>. Ale ile krajów rozwijających się będzie sobie mogło pozwolić na taki „luksus”?

W USA obliczono, że udział „kontroli polucji” w kosztach produkcyjnych jest bardzo zróżnicowany i waha się od 0,2% w przemyśle piekarniczym do 10% w przemyśle celulozowo-papierniczym. Między tymi skrajnościami znajduje się przemysł rafinacji ropy naftowej z 1,4% odpowiedniego udziału, hutnictwo z 1,5—4% i energetyka z 7%. Na 12 tysięcy sprawdzonych zakładów produkcyjnych w 1969 r. aż 800 kwalifikowało się do natychmiastowego zamknięcia, w przypadku 200—300 uznano, że w przyszłości nie sprostają stawianym wymaganiom. A wszystko to działo się przy „taryfie ulgowej”...

Powyższe przykłady nie wyjaśniają jednak w pełni ogromu całego zagadnienia. Ciekawe są np. dane dotyczące szkodliwego oddziaływania zanieczyszczenia atmosfery na zdrowie człowieka, florę i „rzeczy” (np. na budynki). Otóż straty z tego powodu szacowano w USA w 1968 r. aż na 35—41 miliardów dolarów<sup>44</sup>. Same tylko szkody wynikające z „benzynowej” motoryzacji oce-

<sup>42</sup> Por. tamże, s. 4.

<sup>43</sup> Por. tamże, s. 6.

<sup>44</sup> Por. *Les coûts des dommages causes a l'environnement, Paris 1974, s. 55.*



niano tam w 1970 r. na sumę od 2,1 do 5,7 miliarda dolarów. W 1963 r. wydatki w USA na ochronę zdrowia mogłyby być o 2,1 miliarda dolarów mniejsze, gdyby zanieczyszczenie powietrza zredukowano tylko o 50<sup>0</sup>/<sub>o</sub>.

Idźmy dalej. Gdyby w USA chciano zastosować się do uchwalonych norm antypolucyjnych, to wydatki na ten cel wzrosłyby w 1975 r. do 105,2 miliarda dolarów, z 34,5 miliarda dolarów w 1970 r., a więc ponad trzykrotnie <sup>45</sup>.

Podobne przykłady można by mnożyć bez końca, a ciągle jeszcze byłoby daleko do jakiegś prawdy absolutnej. A przecież świat wchodzi w erę energii nuklearnej, eksploatacji dna morskiego, masowego stosowania chemii i wiadomo np., że „opad promieniotwórczy” zachowuje aktywność przez 24 tysiące lat, a reaktory „szybko powielające” będą wytwarzać więcej materiałów rozszczepialnych, niż ich konsumować...

Miejmy zresztą nadzieję, że synteza wodorowa czy też może energia słoneczna rozwiążą problem energii i że dzięki temu będzie lepiej, niż się sądzi.

„Płuca świata”, tj. morza i oceany, zagrożone są już teraz zanieczyszczeniami, a co się stanie, jeśli zaczęłyby występować awarie szybów naftowych na dnie morskim?

W świetle powyższych wywodów na tematy demograficzno-żywnościowe na ogół nikt nie kwestionuje celowości uciekania się do nawozów sztucznych, ale trzeba sobie zdawać sprawę, że część ich spływa do rzek, a rzekami do mórz, niosąc ze sobą azot, który odtlenia wodę, zabijając w niej życie...

A deforestacja? A zabieranie żyznych gleb pod budowę?

A wreszcie prosta prawda, że żadne nawozy sztuczne nie tworzą próchnicy, a przy wielokrotnym stosowaniu nawet wyjąłwiają glebę, która żywić ma jeszcze wiele pokoleń?

I choćby jeszcze taki fakt, że już dziś RFN ma deficyt tlenu i „podkrada” go jak pompa ssąca z innych krajów Europy <sup>46</sup>.

I już tylko taka „drobnostka” jak to, że gdyby w USA zredukowano zanieczyszczenie atmosfery o połowę, to każde urodzone potem dziecko żyłoby o 3—5 lat dłużej...

<sup>45</sup> Por. tamże, s. 126—127.

<sup>46</sup> RFN ma deficyt tlenu rzędu 500 milionów ton, tj. wytwarza go 200 milionów ton, zużywa zaś około 700 milionów ton (por. *Proceedings of IFAC/UNESCO Workshop*, Polish Academy of Science, Warsaw 1974, s. 306).

Trzeba oczywiście wierzyć w geniusz ludzki, który zapewne upora się i z tą przeszkodą rozwoju. Tymczasem jednak względy ochrony środowiska naturalnego niewątpliwie są naturalną barierą rozwoju i to może „wyższą” niż demograficzna i żywnościowa, choć wszystkie łączą się ściśle ze sobą.

Dla międzynarodowych stosunków gospodarczych fakt ten ma znaczenie szczególne. Względy ochrony środowiska naturalnego powodują bowiem często chęć pozbycia się „polucyjnych” przemysłów i przeniesienia ich do „hinterlandu”, który chce je przyjąć. Tylko czy to nie pogorszy całego problemu? „Hinterland” jest bowiem za biedny na przejmowanie się względami ochrony środowiska naturalnego...

Tak więc, resumując trzy pierwsze naturalne bariery rozwoju gospodarki światowej, musimy sobie powiedzieć otwarcie, że owe bariery są jakby „ponadustrojowe”. Oczywiście, radykalne zmiany stosunków społecznych w świecie mogłyby złagodzić ostrość występujących problemów, ale samych barier nie zniosą.

Nie można lekceważyć ani presji demograficznej, ani problemu żywności, ani względów ochrony środowiska. Problemy te istnieją obiektywnie i z uwagi na swą bezprecedensową skalę niestety nie sprzyjają rozwojowi gospodarki światowej i handlu międzynarodowego.

A wszystko to „ujawnia się” z tak ogromną mocą wtedy, kiedy światu potrzebny jest szybki rozwój, a szybki oznacza z reguły taniejący. Tymczasem wiele wskazuje na to, że rozwój może podrożeć, a co za tym idzie i zwolnić swe tempo. Przy tym grozi to zwłaszcza tej części świata, która szybkiego rozwoju potrzebuje najbardziej, a więc krajom rozwijającym się.

Dalszy rozwój wymagać więc będzie nie spotykanych dotąd wysiłków ludzkości. Tylko czy cała ludzkość to zrozumie?

Już dzisiaj dają się słyszeć głosy, że świat wchodzi w „erę walki gatunków”. Tylko — który „gatunek”, idąc po tej linii rozumowania, ma większe prawo do egzystencji? Ten „nieudolny” i głodujący, czy ten „polucyjny” i marnotrawiący?

A jeśli naturalne bariery rozwoju miałyby doprowadzić do eliminacji jakichś „mniej wartościowych gatunków”, to nie zapominajmy, że świat jest konkretny i układy sił na nim są także konkretne!